



**niepokorny-
czytaj:
szajbus**

6



**tak mało
w ludziach
ludzko-
ści**

8-9



**co nam
zostało
z tych lat**

10



**z księży-
cowym
stemplem**

12

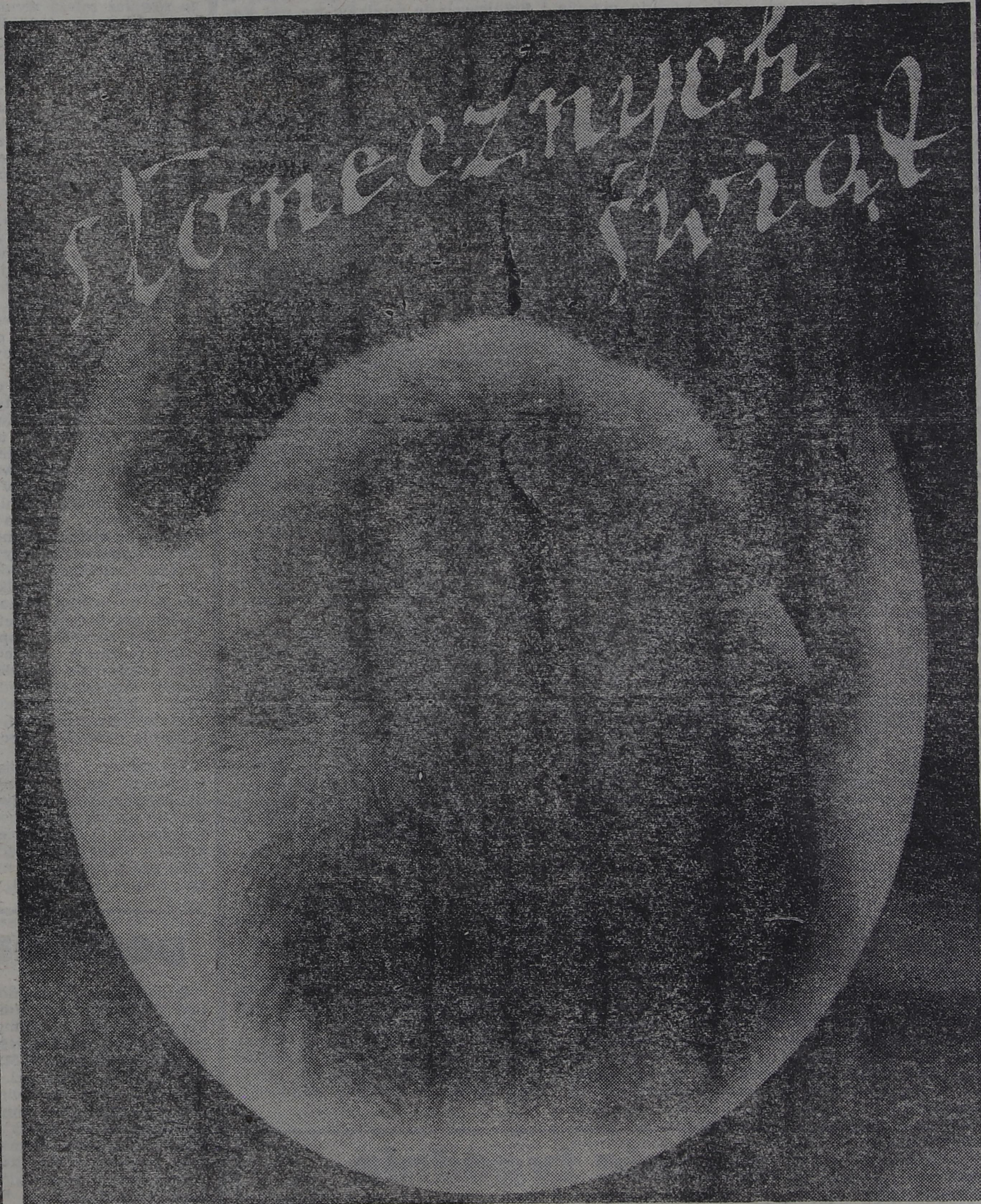
KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOLECZNY • PISMO PZPR

2

(78)

KONTAKTY
11.IV.1982
Cena 12 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

Poczet znachorów polskich

**dzień
uzdrowiciela**

Słynny Harris dotykem ręki uzdrawia tych, wobec których naukowa medycyna jest bezsilna. Pewna Rosjanka z Kijowa uzdrawia rozmową telefoniczną. W Polsce ojciec Klimuszek na podstawie zdjęcia stawiał bezbłędne diagnozy. O tych ludziach słyszeli prawie wszyscy. Ale nie tylko oni niosą ostatnią nadzieję. Rozpoczętym cyklem chcemy naszym Czytelnikom przybliżyć mniej znanych lekarzy ludowych czy znachorów — jak powiadają inni.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

**spokojna
noc**

**DANUTA
WRONISZEWSKA**

Łomży nie można na pewno — i na szczęście — zaliczyć do ważniejszych polskich ośrodków przestępstwa. Nawet w makroregionie nie ma w tym względzie poczesnego miejsca. Wbrew temu jednak, co głoszą masowe środki przekazu, ilość przestępstw w województwie nie spada, bowiem do 16 marca bieżącego roku wszczęto 156 dochodzeń, tzn. tyle samo, co do 16 marca roku ubiegłego. Ponieważ według innych obliczeń statystycznych — statystyka nigdy nie mówi prawdy, wszyscy czujemy się na ulicach dużo bezpieczniej niż rok temu. Diametralnie zmienił się bowiem charakter wykroczeń i przestępstw: zdecydowanie mniej jest rozbojów i włamań, więcej natomiast przypadków ukrywania towarów, pokątnego handlu, nielegalnej produkcji alkoholu. Dominują wykroczenia typowe dla stanu wojennego. Na przykład: spośród 361 zarejestrowanych do 16 marca w Łomży wykroczeń, 217 to nieprzestrzeganie godziny milicyjnej, 40 — brak dowodu osobistego, 66 — zakłócenia ładu i porządku, 9 — brak zezwolenia na poruszanie się na danym terenie.

Trudno mi uwierzyć, że w czwartym miesiącu obowiązywania godziny milicyjnej można o niej zapomnieć, narażając się na karę pieniężną, a nawet 48 godzin aresztu. Na moje niedowiarstwo kpt. mgr Mieczysław Gilewski, komendant KM MO w Łomży, znajduje wypróbowaną metodę: trzeba dotknąć, popatrzeć z bliska, czyli potowarzyć w pracy nocnego patrolu.

O 21.00 przyjeżdżam do Komendy Miejskiej na Nowogrodzkiej. Budynek prezentuje się nader skromnie. Na jego widok na pewno nikomu mózg nie cierpi z przerażenia. Barak, w którym dość ciepło i wygodnie mogłaby zarabiać na życie spora gromadka papierokratów, zupełnie nie nadaje się na miejsce pracy milicji. Specyfika i bezpieczeństwo pracy wymagałyby solidnego, muranego budynku, a tu ściany cienkie jak z dykty. Urządzenie wnętrza również niewyszukane: nawet firanki są przywilejem kilku zaledwie pokojów. Biurokratyczne przepisy nie zezwalają na powieszenie ich we wszystkich salach, a przecież kraty nie zapobiegają ewentualnym obserwacjom z zewnątrz, rzadko kiedy

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

Jak wychowywać młodzież, aby miała zaufanie do swoich nauczycieli? Jaki stworzyć system nauczania, aby uczniowie nie byli ofiarami błędnych reform szkolnictwa i z lat spędzonych w szkole odnosili maksymalne korzyści moralne, kulturowe i zawodowe? Wreszcie, jak uczyć i czego, by absolwenci nie czuli się zagubieni w życiu, bezradni i sfrustrowani po opuszczeniu szkoły? Na te pytania próbowali sobie odpowiedzieć organizatorzy Wojewódzkiej Konferencji Teoretyczno-Politycznej w Łomży: Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Wojewódzki Sztab Wojskowy.

Jeden z uczestników powiedział: „Jakich szkół wypuszcza absolwentów, takich my później musimy szkolić żołnierzy. A stwierdzić trzeba, że ich poziom wiedzy z historii Polski, zwłaszcza najnowszej, jest wręcz żenujący. Leży więc w naszym obopólnym interesie zastanowić się, jak kształcić młodzież”. Konferencja miała na celu wybrać do systemu nauczania te wszystkie wartości z cywilnego i wojskowego szkolnictwa, które dotychczas przynosiły najlepsze owoce. Wielokrotnie powracał więc problem wychowania młodzieży przez pracę, lecz nie pracę Syzyfa, bezcelową, niewolniczą, ale twórczą, przygotowującą człowieka do życia i do podjęcia sobie w każdej trudnej sytuacji.

Wielu dyskutantów, zwłaszcza w zespołach problemowych, zastanawiało się, jaki powinien być model polskiej szkoły średniej: polityczny, upowalniający do pracy co najmniej w kilku zawodach czy ogólnokształcący, otwierający drogę na każdy kierunek studiów, ale bez fachowego przygotowania do konkretnej pracy? Zdania były podzielone.

W dyskusji nie zabrakło głosów na temat otwartości polskiej szkoły i poszanowania zasad tradycyjnej tolerancji, propozycji powrotu do sześciodniowego tygodnia nauki z zachowaniem dodatkowego wolnego dnia od zajęć dla nauczycieli, ożywienia działalności organizacji młodzieżowych w środowisku szkolnym. Należy czynić wszystko, podkreślali uczestnicy konferencji, aby umacniać w państwie socjalistycznym jedność młodego pokolenia, bowiem rozdarcie społeczeństwa na: my, wy, oni prowadzi do nikąd.

31 MARCA odbyła się robocza narada sekretarzy podstawowych organizacji partyjnych i kierowników łomżyńskich zakładów pracy. O reformie gospodarczej mówił kierownik działu ekonomicznego KW Stanisław Sidor: „Reforma, choć wprowadzona w niezmiernie trudnym dla nas okresie, jest nieunikniona. KW PZPR w Łomży w skierowanej do członków partii uchwałę mocno akcentuje problem ochrony pracowników, jedynych żywicieli rodzin. Od lutego następuje wyraźne przyspieszenie realizacji zadań planowych. Widać już też efekty pracy wcześniej niż przemysł wdrażającej reformy drobnej wytwórczości, (pięcioprocentowa dynamika wzrostu produkcji, większa elastyczność i samodzielność przedsiębiorstw). Najlepiej radzą sobie z reformą najpoważniejsze zakłady województwa. Dużym utrudnieniem jest czasowe zawieszenie działalności samorządów robotniczych. Lukę tę powinna wypełniać organizacja partyjna. Rozdzielnictwo, słabe zaopatrzenie — to dalsze bariery reformy. Programy operacyjne rozbudowały się tak bardzo, że teraz trzeba szukać superprioritetów. Złóżliwi twierdzą, że z reformy widać dotychczas jedynie ceny. Ale reformę trzeba po prostu pokochać, nawet jeśli jest to uczucie nieco na kredyt i przedstawiać się na nowy sposób myślenia i działania”.

KWIECIEŃ — wieloletnim zwyczajem jest miesiącem pamięci narodowej. W całym województwie odbywają się liczne spotkania z kombatanami, uroczyste wieczornice. Jest to również czas porządkowania mogił, pomników i tablic pamiątkowych poświęconych ofiarom wojny. Żadne miejsce martyrologii i pamięci narodowej nie może zostać zapomniane.

KOMISJA PRODUKCJI ROLNEJ przy WK ZSL przeanalizowała projekt warunków powszechnej kontraktacji obok kilku wniosków dość często podnoszonych w dyskusjach i na łamach prasy, wypracowała swoje oryginalne spostrzeżenia. Proponowana zależność między podziałem środków produkcji a wysokością kontraktacji może spowodować pewną dyskryminację gospodarstw

nietowarowych. Ziemia, bez względu na to, gdzie i jak zostaną sprzedane jej plody, musi odzyskiwać swą zasobność i żyzność, aby móc nadal rodzić. Dlatego należy obliczyć takie minimum nawozów dla każdego gospodarstwa (bez względu na to, czy jest ono towarowe czy nie), aby zapewnić glebie jej żyzność. Proponowany system kontraktacji zwierząt rzeźnych nakłada zbyt wiele zadań na organizującego kontraktację, zmuszając do trzykrotnego spotkania się stron. Najlepszym rozwiązaniem wydałoby się zgłaszanie sztuki rzeźnej na sprzedaż kontraktowaną na 3-4 tygodnie przed realizacją transakcji. Wyznaczona na konkretny termin sprzedaż mogłaby być przesunięta o jeden skup wcześniej lub później. Zastrzeżenia przemysłu mięsnego, który twierdzi, że to nie zapewni mu dostatecznego rozczynu w wielkość dostaw nie wydają się uzasadnione.

ROLNICTWU BRAKUJE najprostszych narzędzi, części zamiennych, zakładów usługowych. W wielu gminach nie ma gdzie podkuć konia, oszkuć okna, ba — ostrzyć głowy. Co zatem dla wsi już od dziś zrobić mogą łomżyńskie zakłady pracy i drobna wytwórczość: rzemiosło, spółdzielczość rolnicza i pracy, zakłady doskonalenia zawodowego? Odpowiedzi na to właśnie pytanie poświęcone było wspólne posiedzenie prezydium WK ZSL i SD w Łomży.

Łączny potencjał drobnej wytwórczości, świadczącej usługi wsi i rolnictwu, to 3530 placówek, w tym na terenie wsi: 197 zakładów kowalstkich; 1001 — budowlanych; 15 — szlarskich; 167 — stolarskich; 6 — rymarskich; 24 młyny i 28 tartaków. Według danych z 1980 roku brak było: zakładów szewskich — na terenie 22 gmin; motoryzacyjnych — 13; szlarskich — 24; fryzjerskich w 15 gminach. Jednym z zasadniczych warunków poprawy sytuacji jest szybka pomoc naczelników w uruchamianiu nowych placówek usługowo-rzemieślniczych: przydział działek pod budowę, pomoc w załatwianiu formalności, przydział materiałów budowlanych. (Dobrym przykładem jest postawa naczelnika Nowogrodu, gdzie w ciągu kilkunastu miesięcy powstał nowoczesny zakład naprawy samochodów). O zakresie i możliwościach produkcji sprzętu i narzędzi rolniczych konkretne propozycje przedstawił zaproszeni na obrady przedstawiciele Izby Rzemieślniczej, POM-ów, WZSR, WZKIOR, Zakładu Doskonalenia Zawodowego, spółdzielczości rolniczej i pracy. Niesety, w większości przypadków zabrzmiły one jako efektowne deklaracje bez pokrycia. Zakład Remontowo-Montażowy WZSR „SCH” w Grajewie zamierza produkować kopaczki elewatorowe do ziemniaków i rozsiewacz do nawozów; POM w Szczuczynie ma... koncepcję budowy urządzenia do usuwania obornika z tzw. głębokich obór; POM Łomża chce się zająć ładowaniem hydraulicznym do ciągnika: Inne pomysły to: ładowacz obornika, przyczepa jednoosiowa (ładowność 1 t., cena 54(!) tys. zł); kultywatory ciągnikowe... Brak tu zatem nie tylko rozczynu i ekonomicznego podejścia (bardziej potrzebna części do u n i e r u c h o m i o n y c h w KR, SKR, u rolników indywidualnych setek kopaczek, rozsiewaczy, kultywatorów itp. niż kilkadziesiąt nowych maszyn, które po roku staną z braku części), ale i realizmu. Większość bowiem przedsięwzięć z góry obwarowano zastrzeżeniem: „Jeśli dostaniemy wyroby hutnicze, park maszynowy itp.; formalności atestacyjne trwają od roku do dwóch”. W takim zresztą duchu podsumował zamiary produ-

centów jedyny(!) na posiedzeniu rolnik oraz wicewojewoda Zdzisław Truszkowski, który powiedział: „Zacznijmy od rzeczy drobnych, ale realnych”.

W ZAKŁADZIE PŁYT WIÓROWYCH w Grajewie kwiecień zaczął się fatalnie — wyczerpały się rezerwy mazutu, a cysterny z Płocka nie dotarły na czas. Przymusowa przerwa w produkcji wykorzystano na przeprowadzenie remontów.

SKR, STW i GS w Ciechanowcu odmówiły w bieżącym roku przyjmowania na praktyki robotnicze uczniów z miejscowych szkół zawodowych, ponieważ przeszły na oszczędne trzy „S”!

ROLNICY CZARKÓWKI MAŁEJ w gminie Perlejewo odkryli „zło” 300 ton wapna, ułożone na terenie ich wsi kilka lat temu przez ciechanowski SKR, gdy mineral ów był raczej balastem niż poszukiwanym towarem. Obecnie o odkryty skarb upomina się także SKR w Perlejewie, chcąc sprawiedliwie rozsiać po polach wszystkich perlejewskich rolników. Jednakże gospodarze z Czarkówki Małej i Dużej twierdzą: zgoda, ale w pierwszej kolejności musi pójść na nasze pola i to w takich dawkach, jakich my sobie zażyczymy!

JUŻ PRZEZ OKRĄGŁY ROK jedzie Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych do rolników we wsi Kostry Stare w gminie Kłukowo uregulować stosunki wodne. Ostatnio ojcowie tej firmy usprawiedliwiali się nadmiarem prac w innych częściach województwa. Rolnicy ze wsi Kostry przyjęli do wiadomości te niezbyt pocieszające ich informacje, bo nie mieli innego wyjścia. Czekała równie cierpliwie jak stojąca na ich łakach woda.

DŁA MATEK NA URLOPACH WYCHOWAWCZYCH i trzyletnich urlopach bezpłatnych ZM ZMS podtrzymuje inicjatywę utworzenia w Łomży Młodzieżowej Spółdzielni Pracy Nakładczej. Z resztek materiałów pochodzących z Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” szłyby one pieluszki, komplety pościeli odzież dla dzieci i dla dorosłych. Inicjatywa nie może dojść do skutku ze względu na przestarzałe przepisy, mimo że są chętne młode kobiety dysponujące własnym sprzętem. Organizatorzy widzą funkcjonowanie spółdzielni na zasadzie prac zleconych, być może na wzór studenckich spółdzielni pracy.

WYTWÓRCZO — USŁUGOWA SPÓŁDZIELNIA PRACY w Kolnie zweryfikowała dotychczasowy profil swojej produkcji i w ramach przywrócenia rentowności zakładu podjęła się wytwarzania bielizny i odzieży.

W GRAJEWIE czuje się wiosnę nie tyle w powietrzu, co na ulicach: uprzątnięto już i wywieziono nieczystości z terenu posesji prywatnych i zakładów pracy. Trwa praca przy zieleńcach i placach. Chociaż są ludzie poszukujący zatrudnienia, do pracy na świeżym powietrzu nikt chętnie się nie garnie. Z dwudziestu „niebieskich ptaszków” przymusowo upiększających Grajewo zostało już tylko paru. No cóż, wiosna, chce się fruwać.

W DNIACH 2-4 kwietnia w Broku nad Bugiem szkolili się przewodniczący miejsko-gminnych i gminnych zarządów ZSMP. Gościł wśród nich poseł, a jednocześnie sekretarz KW PZPR, Mirosław Skalski.

2 TYSIĄCE MŁODYCH ROLNIKÓW wzięło udział w tegorocznej Olimpiadzie Wiedzy Rolniczej organizowanej przez ZSMP. Zwycięzcy: Tadeusz Dobkowski, (gm. Wizna), Tadeusz Sokołowski (gm. Radziłów) i Henryk Cichoń (Rajgród) otrzymali talony na maszyny rolnicze.

PUNKT WIDZENIA

reformy nie robią dyrektorzy

Mirosław Skalski, sekretarz KW PZPR w Łomży: — O reformie można mówić dużo, wieloaspektowo i — praktycznie — bez końca. Pewne mechanizmy ekonomiczne, rynkowe będą nas zaskakiwać, inne są do przewidzenia. Najbardziej trapiącymi mnie problemami rodzącymi się w trakcie reformy są te, które dotyczą bezpośrednio ludzi. Myślę, że przewidywanie pewnych trudności pozwoli nam na bardziej rozsądne ich rozwiązanie. Przede wszystkim musimy sobie zdać sprawę z tego, że reformy nie robią sami dyrektorzy, a często nawet przede wszystkim nie oni.

W ŁZPB „Narew” Komitet Zakładowy bardzo mocno wszedł w zagadnienia reformy, niejednokrotnie dopingując dyrekcję do nowych rozwiązań. Ważnym zadaniem instancji partyjnych oraz administracji będzie również propagowanie zasad reformy na forum całej załogi. Każdy pracownik musi rozumieć, że o płaca się mu pracować wydajniej, oszczędniej, lepiej, bowiem od niego również zależą wyniki pracy całego zakładu, a więc i dochód przedsiębiorstwa raz jego własny. Nieodwzowne jest także wciągnięcie nadzoru techniczno-inżynierskiego, szczególnie ludzi młodych, do intensywnego i twórczego myślenia o reformie, o perspektywach swego zakładu pracy. Nowe przepisy o wynalazczości, racjonalizacji i patentach powinny wyzwolić poszukiwania nowych rozwiązań.

Reformę trzeba robić wszędzie, na każdym odcinku i szczeblu i uważać, żeby nie zadusiła jej biurokratyczna machina.

Najbardziej niebezpiecznym momentem jest redukcja zatrudnienia, która dla wielu oznacza — przynajmniej chwilowy — brak pracy. Stosunkowo najłatwiej będzie tym, którzy będą mogli przejść na własne gospodarstwo rolne oraz tym, którzy posiadają kilka zawodów. Bardzo mocno z tego powodu ucierpią zapewne kobiety, i wiele z nich będzie musiało zrezygnować z pracy. Kierownictwa zakładów i przedsiębiorstw z pomocą organizacji partyjnych powinny bardzo wnikliwie przeanalizować przydatność poszczególnych stanowisk przy określonym profilu i wielkości produkcji. Przy weryfikacji pracowników będzie przede wszystkim brana pod uwagę ich przydatność, rzetelność, solidność, pracowitość, zapal oraz sytuacja rodzinna. Chociaż reforma dość drastycznie ograniczy zatrudnienie, równocześnie jednak umożliwi jego racjonalizację i w perspektywie stwarza możliwość powstawania nowych miejsc pracy.

Tymczasem wystąpią ogromne trudności ze znalezieniem etatów dla tegorocznych absolwentów szkół podstawowych, ponadpodstawowych i wyższych. O ile w kwietniu ub. roku na 1 osobę zgłaszającą chęć podjęcia pracy czekało 26 miejsc, to w tym roku — jedynie 0,3.

personalia

Zmieniło się niedawno kierownictwo Wojewódzkiego Komitetu ZSL. Funkcję prezesa objął mgr inż. Czesław Gartych, wiceprezesa — wicewojewoda, Eugeniusz Mioduszeński, a sekretarza mgr inż. Mieczysław Bagiński. Józef Surowiec, poprzedni prezes WK ZSL, opuścił Łomżę, ponieważ został dyrektorem Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr przy Naczelnym Komitecie ZSL.

Pod nowym kierownictwem pracuje również Wydział Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej przy Urzędzie Wojewódzkim. Dyrektorem Wydziału jest mgr inż. Jan Hołownia, a jego zastępcami — mgr mgr Józef Mioduszeński i Jerzy Kraszewski.

*

Od 1 IV obowiązki dyrektora Regionalnego Zakładu PZU w Grajewie pełni mgr Kazimierz Rutkowski, dotychczasowy dyrektor Zakładu Gospodarczego WZSR. Na wakujące stanowisko w WZSR powołano mgr Henryka Swiderskiego.

zdanie tygodnia

„Handel nie może być od dzielenia tego, co dostał, lecz od pozyskiwania tego, czego nie ma”.

Zdzisław Truszkowski
wicewojewoda łomżyński

myśl z atestem

Niech społeczeństwo, zamiast skarżyć się na przeszkody, pracuje tam, gdzie ma pole otwarte. Nie ma położenia, którego by nie można wykorzystać dla pełnej korzyści.

Aleksander Świętochowski

jak sobie wyobrażam moje pismo partyjne

3

KONTAKTY
11.IV.1982

MIECZYSLAW CZERNIAWSKI, I sekretarz KM PZPR w Łomży: — Przyjaciół pisma niepokoiło: dlaczego „Kontakty” jeszcze nie zostały „odwieszone”; przeciwników: czy trzeba je w ogóle odwieszać. Uważam, że powstanie tygodnika było pożyteczne, również dla partii — byłoby też ogromną stratą, gdyby zmienił dotychczasową formułę. Po- czynić tu jednak należy zastrzeżenie, że nie ma idealnych pism i również „Kontakty” nie pozbawione były błędów, choć nie one decydowały o ich kształcie i opinii większości czytelników.

Uważam, że pismo PZPR powinno być nie tylko dla członków partii. Natomiast niesłuszny wydaje się pogląd, by zawierało wyłącznie relacje, sprawozdania czy komentarze tego, co robi partia. Tym powinien zająć się biuletyn informacyjny KW PZPR. Czytelnik-członek partii, powinien raczej znaleźć taki materiał, który wzbogacałby jego doświadczenia, pobudzał do refleksji nad pracą POP, instancji. Pismo musi docierać do wszystkich środowisk; w swych treściach zawierać różne poglądy, by można było skonfrontować pewne zjawiska, trendy, jakie występują w sferze gospodarczej czy społeczno-politycznej. Myślę, że linia pisma, realizowaną w poprzednim okresie — prezentacja różnorodnych poglądów (były przecież próby dobrych polemik z poglądami, które dziś nie mają szans powodzenia w naszym życiu społecznym czy politycznym) — zespół redakcyjny dowiódł, że w pełni dorasta do roli integratora środowisk. Za główny cel pisma partyjnego uważałbym: budowanie porozumienia społecznego w dialogu ze społeczeństwem.

Każde pismo ma przeciwników i zwolenników. Nawet „Przegląd Sportowy”, przy najmniejszej próbie komentowania wydarzeń, wzbudza wiele kontrowersji. Cóż dopiero mówić o tygodniku, który porusza negatywne zjawiska, często dotykając konkretnych osób. Byłoby jednak ogromną stratą, gdyby pismo zaprzestało krytyki. Pod jednym warunkiem: krytykować przede wszystkim określone zjawiska, działania, ale i dostrzegać konkretnych ludzi, którzy za nimi stoją. I druga rzecz: powinna wynikać nie tylko z osobistego stosunku redaktora do zjawiska. Choć każdy dziennikarz ma określony zasób doświadczeń, wiedzę, to nie jest pozbawiony subiektywnego osądu. Dlatego też ostateczne wnioski powinny być zbiorową mądrością — mądrością kolektywu redakcyjnego. Dziś, jak nigdy, partia oczekuje właśnie takiego krytycznego spojrzenia. Gdybym miał mówić, jak pokazywać partię, to na pewno nie tak, jak robią to środki masowego przekazu: narada, spotkanie, a już rzadko kiedy udaje się dowiedzieć o efektach. Pokazywałbym partię w działaniu — to jest warunek podstawowy. Najważniejsze, by pismo wspomagało partię, by było bliżej zakładów pracy, docierało do wszystkich środowisk, bo tu przecież decydować się będzie powodzenie reformy gospodarczej; określać kształt przyszłych związków zawodowych; ustalać jakościowe kryteria członków partii. Wiele bym sobie cenił, aby pismo mogło do tej dyskusji zaangażować również bezpartyjnych.

„Kontakty” budziły wiele kontrowersji, ale rozumiem dylemat pisma: pokazywać treści, które mogą pobudzać intelektualnie, a — z drugiej strony — zapewnić sobie pożytność wśród przeciętnych czytelników. Wiem, że w „Kontaktach” denerwowały ludzi te króciutkie, nieraz bardzo trafne doniesienia — nie przejmowałbym się tym, bo właściwym miernikiem jest jedno: społeczeństwo pismo czytało, dyskutowało o publikowanych tekstach. Częstość zle opinie o piśmie upowszechniały osoby przez nie dotknięte. Krytykowani uszczypliwość pod swoim adresem odbierali jako podważenie całej swej egzystencji — każdy, kto piastuje funkcję, powinien krytykę przyjąć za normalne zjawisko, gdyż nikomu nie uda

się być wszechwiedzącym, pomnikowym ideałem.

Czego natomiast oczekiwałbym od tygodnika w najbliższym okresie: pokazywania problemów młodego pokolenia — nie tylko poprzez „Famiętnik nastolatka”. Z własnych zainteresowań życzyłbym sobie więcej sportu, publikacji z historii naszego regionu.

JERZY DEC, naczelnik Nowogrodu: — Niezwykle trudno jest precyzyjnie określić, jaka ma być gazeta partyjna. Na pewno najczęściej spotykana odpowiedź brzmi: powinna zainteresować jak najszerszą rzeszę czytelników, informować o działaniach partii, pokazywać wszystkich ludzi dobrze pracujących i trafiać w gusty obywateli o zróżnicowanym poziomie umysłowym.

Określenie „gazeta partyjna” zobowiązuje do propagowania idei partii, prezentowania tego, co w jej działalności najlepsze, ale równocześnie do krytycznego traktowania wszelkich przejawów zła na drodze realizacji programu partii. Zespół redagujący gazetę partyjną musi prowadzić walkę o linię partii, a wszelkie odchylenia szczegółowo charakteryzować, przy czym krytyka nie może być bezimienna. Dziennikarz powinien personifikować tych, których działalność jest szkod-

WALERY NOWICKI, pracownik Państwowego Przedsiębiorstwa Spożywczego w Łomży: — „Kontakty” zaczynam czytać od drugiej strony, zawierającej skrót różnych wydażeń, które miały miejsce w Łomżyńskim w ostatnim tygodniu. Uważam, że tych zdarzeń powinno być nawet więcej niż na jednej stronie, aby tylko nie zrobiono tego kosztem programu telewizyjnego, który również powinien być. W zdarzeniach mogłaby być wydzielona stała rubryka dotycząca kadry kierowniczej; różne osoby zmieniają fotele, a my dowiadujemy się o tym z poczty pantoflowej. Poza tym: aktualności powinny dotyczyć całego regionu, a nie tylko jego stolicy — Łomży. Nie dostrzegam natomiast potrzeby zamieszczania wydarzeń z kraju, o których można przeczytać choćby w „Trybunie Ludu” lub dowiedzieć się z Dziennika Telewizyjnego. Bardzo podobają mi się też „Spięcia”, które nie tylko śmieszą, ale i zaskakują — czasami drobne, lecz uciążliwe absurdy.

„Kontakty” są pismem PZPR, ale nie powinny zawierać wyłącznie artykułów o partii. Uważam, że taki skrót informacji o działaniach organizacji, jaki do tej pory znajdował się na omawianej już stronie zdarzeniowej był wystarczający. Szersze informacje partyjne mamy przecież w specjalnych biuletynach,

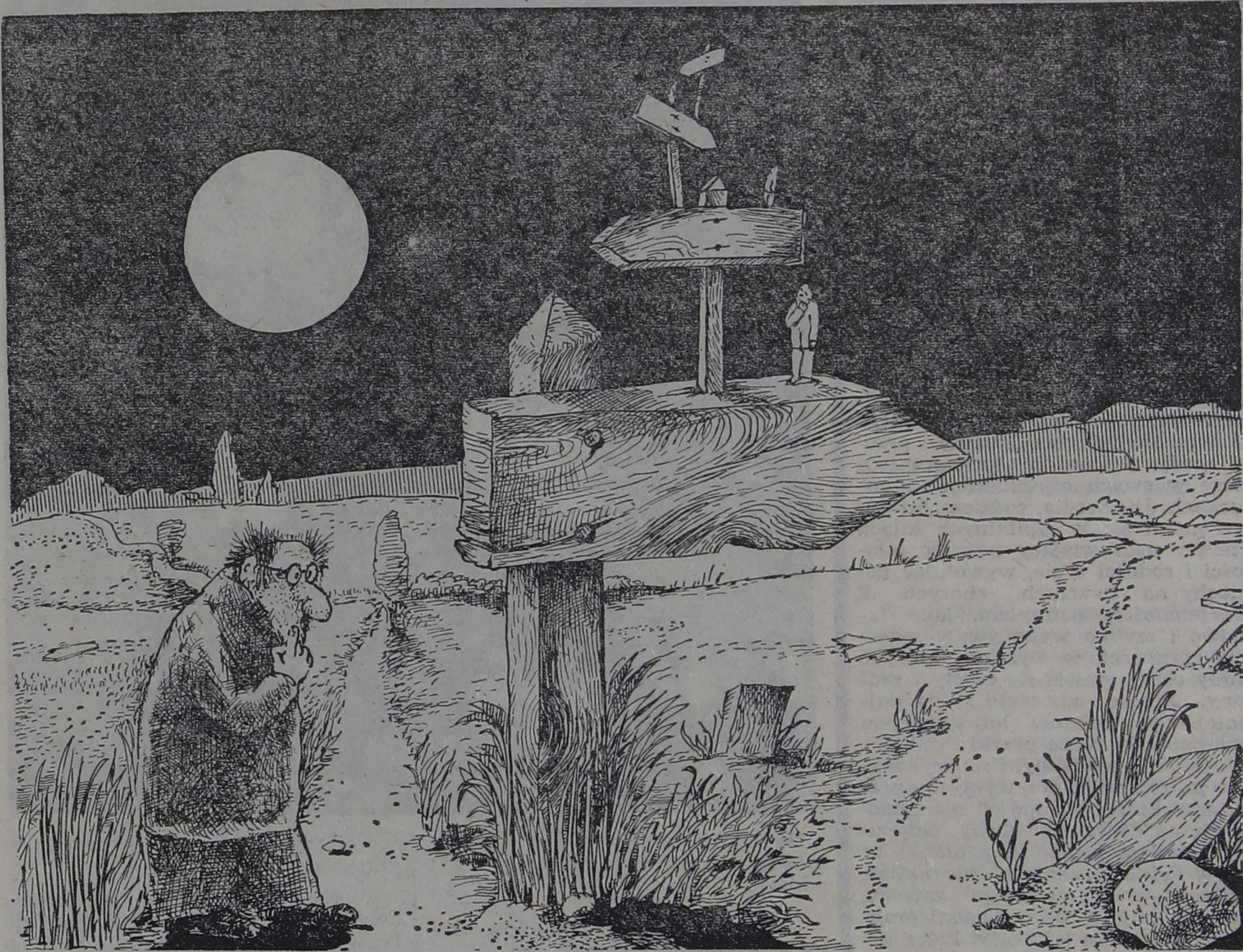
zmęczyć, a dzieci wystarczająco wystraszyć.

Łomża nie ma żadnej regionalnej gazety sportowej, a u nas przecież sport tak zupełnie nie zamarł; uważam, że przydałoby się o nim trochę więcej pisać. Chyba trzeba by też nieco miejsca poświęcić rozrywce, czy nawet krzyżówce, przy której człowiek odprężyłby się po pracy.

Dotąd czytałem prawie wszystkie numery „Kontaktów” i pismo oceniam pozytywnie. Jakże ono będzie teraz?

WZDZISŁAW SAWICKI, wiceprezes Rady Wojewódzkiej Zrzeszenia Sportowego Spółdzielczości Pracy „Start” w Łomży: — Przede wszystkim powinno być prawdziwe: bez podtekstów i aluzji; a zamieszczane materiały — bezkompromisowe. O złym działaniu należy pisać w odniesieniu do konkretnych osób, personalnie, bez względu na stanowisko zajmowane przez delikwenta. Sprawy partyjne muszą być przedstawiane bez owijania w bawełnę, ale uczciwie.

Rozprawy z przeciwnikami politycznymi powinny być zdecydowane, ale bez przemilczeń, z uszanowaniem poglądów przeciwnika. Rozumiem to tak, że polemiki polityczne, mówiąc po sportowemu, powinny być prawdziwą „szermierką” argumentów, prowadzoną w sposób kulturalny, bez napastliwości, ironii,



Rys. Andrzeja Poduki

liwa dla programu realizowanego przez naród.

W ostatnich latach obserwowałem kilka przeobrażeń naszej prasy. Szczególnie było to widoczne w okresie 1980—81. Dla wielu czytelników był to materiał ciekawy, dotąd nie znany, powstający w ogniu walki politycznej ludzi, którzy posługiwali się takimi metodami, jakie były im wygodne. Te doświadczenia muszą być teraz we właściwy sposób wykorzystane. Czytelnik powinien otrzymać gazetę, która upowszechnia rzetelną wiedzę o rzeczywistości, jednocześnie krytyczną, a więc zdolną pobudzić ludzi do działań, mających na celu, wypracowanie lepszej przyszłości. Gazeta partyjna musi zawierać w sobie te zagadnienia, którymi żyje dzisiaj nasze społeczeństwo.

W dość bogatej formie graficznej łomżyńskich „Kontaktów” pojawiły się zróżnicowane jakościowo treści. Należałoby więcej miejsca poświęcić problematyce społecznej, ekonomicznej, oświatowej i znacznie więcej — kulturalnej. Z gatunków dziennikarskich powinny one zachować dotychczasową dawkę reportażu.

które docierają do zakładów pracy, a poza tym chyba nie każdy czytelnik „Kontaktów” jest członkiem partii, więc niech i on znajdzie tam coś dla siebie.

Nasze pismo, jak głosi podtytuł, jest tygodnikiem łomżyńskim, ale jakoś niewiele w nim artykułów dotyczących historii naszego miasta i regionu. To dobrze, że dużo jest tekstów ukazujących aktualne problemy ludzi z naszej okolicy, ale chyba do przeszłości też powinno się wracać. Z takich tekstów wiele mogłaby skorzystać młodzież. By przez poruszanie tematyki historycznej „Kontakty” nie pękły w szwach, można to zrobić kosztem fotoreportażu, który prawie w każdym numerze zajmował całą stronę. Zdjęcia są dobre, ale zważywszy na obecne kłopoty z papierem można by część z nich sobie podarować. Przy okazji pytanie: czy pierwsza strona musi zawierać tak wielkie zdjęcie? Nie wiem w jaki sposób, ale chyba można już coś zmienić na okładce. Przypomnę, że znużyła mnie także diabelska strona „Kontaktów”, którą przestałem czytać i chyba nie tylko ja; starczy nam już tych diabłów — dorosłych zdążyły

pyłkich i oklepanych frazesów, które nikogo do niczego nie przekonują.

Z zainteresowaniem czytałbym w swojej gazecie serwis informacji z województwa, kraju i świata. Chciałbym, aby była też kronika wojewódzkiej organizacji partyjnej, ale robiona nie na starej zasadzie: kto był i co powiedział, tylko gdzie co zrobiono: bez laurów, ale pokazująca konkretną działalność organizacji dla ludzi. Dalej: kronika kulturalna — też na tej samej zasadzie. Nie może również zabraknąć kroniki sportowej województwa, bo sport jest ważny, a przecież niedoceniany. Ponadto celny felieton lub dobry reportaż, dotyczący codziennych spraw mieszkańców naszego województwa. A z tego wynika następująca sprawa: ukazywanie, jak problemy mieszkańców województwa rozwiązywane są przez partię i administrację, bo tu jest najwięcej konfliktów wynikających z niedomówień, z niepełnej informacji.

Sądzę, że taka właśnie gazeta byłaby chętnie czytana. No i nie może zabraknąć działu stałej łączności z czytelnikami.

kryteria



kontakty kontaktów

Nieczęsto choruję, ale w moim dość długim życiu parokrotnie zdarzyło mi się być pacjentem różnych klinik i szpitali. Toteż ostatnie skierowanie do szpitala w Łomży przyjąłem jako kolejny „dopust Boży”, tym bardziej że od dawna dochodziły mnie słuchy, że zarówno warunki bytowe, jak i samo leczenie w nim pozostawia wiele do życzenia. Na szczęście rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Wszystkie pomieszczenia były utrzymane w czystości, co jest niewątpliwie zasługą niezmordowanych pań salowych, które wielokrotnie w ciągu każdego dnia poprawiały połysk posadzek. Również posiłki, podawane czysto i punktualnie, okazały się bynajmniej nie głodowe. Widziałem pacjentów szalenie dokuczliwych i wtedy podziwiałem spokój, opanowanie i pogodę ducha pielęgniarek, które cierpliwie wykonywały swe czynności. Szczególnie dyżury nocne pokazały mi, jak trudna jest ich praca. Pewnego razu obserwowałem przebieg dyżuru młodej pielęgniarki, Marty Brzozowskiej, która z niezwykłą sumiennością i czujnością doglądała swych podopiecznych. Myślę, że gdybym spędził więcej takich bezsennych nocy mógłbym stwierdzić, iż siostra ta nie jest wyjątkiem.

Wszystkie te uwagi dotyczą wyłącznie I Oddziału Wewnętrzny i właściwie nie wiem, jak wyglądają pozostałe, ale nie mam też żadnego powodu sądzić, iż jest tam inaczej.

No i na koniec o akcencie najprzyjemniejszym, o pracy na oddziale praktykantek z miejscowego Liceum Medycznego. Dzielne, przebrane, zdyscyplinowane, pogodne i urocze w swych czystych mundurkach dziewczęta, codziennym pojawieniem się w szpitalnych salach wnoszący uzdrawiający powiew młodości i radości życia, wywołując uśmiechy na twarzach chorych. Z przyjemnością patrzyłem, jak fachowo i szybko wykonywały mnóstwo czynności, w wyniku których każdy chory stawał się czysty i zadbane. Jakże odważnie i bez najmniejszego wahania lub sprzeciwu podejmowały różne przykre zadania, których nie zgodziłbym się wykonywać ja, robotnik, przyzwyczajony do pracy, przy której nie sposób nie usmołić się aż po czubek głowy. Gdy uświadomiłem sobie, że panienki te, już w szkole poznające nie najłatwiejsze strony obranego zawodu, nie rezygnują z niego i nadal pragną poświęcić się tej pracy, która nie zapewnia jednak szczególnych korzyści materialnych, zrozumiałem, że są one godne najwyższego szacunku. Mając taką młodzież bez obawy możemy patrzeć w przyszłość. Mimo wszelkich pozorów na pewno nie jest z nami tak źle, jak się wydaje. Gdyby każdy z nas, od ministra do robotnika, wziął przykład z tych dziewcząt i pracował na swoim stanowisku tak jak one, wszelkie kryzysy byłyby dla nas tylko pustym dźwiękiem.

**Pacjent szpitala w Łomży
(nazwisko i adres do wiadomości
redakcji)**

Powstające w Łomży, z inicjatywy naszego tygodnika, unikalne w Polsce Muzeum Straszdeł, Demonów i Niesamowitości jest okazją do przedstawienia świata wierzeń demonicznych i uchronienia tego elementu naszej kultury i historii od zapomnienia. Pomyśl zyskał już duży rozgłos wśród licznych teatrów w kraju. Ich dyrektorzy, skuszeni nagrodą w postaci 500 dni odpustu od ognia piekielnego, spieszą z pomocą w zbieraniu eksponatów lub z żalem odmawiają swojego akcesu.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

pożądany nawet w innego typu instytucjach.

Na służbę melduje się sierżant Tadeusz Idziaszek. Komendant przydziela mnie do jego patrolu. W nysce czekają pomocnik, rezerwista Tadeusz R., z zawodu nauczyciel — wyposażony w krótkofalówkę, pałkę i trzymiesięczną praktykę — oraz kierowca Ryszard, też z rezerwy. Zaczynamy od wymiany patroli na rogatkach. Tuż po 22.00 zatrzymujemy się przed bazą STW. Zадnej bramy. Teren otwarty, więc powinien być szczególnie czujnie strzeżony. Z baraku służącego za stróżówkę dolatuje głośnie rozmowa, suto kraszona jędnymi słowy: — Ja go, k..., prosto pytam, czy jest złodziej, czy nie. A on mi: trzymaj mordę krótko i nie w... się do cudzych spraw.

— A gdzie tam...

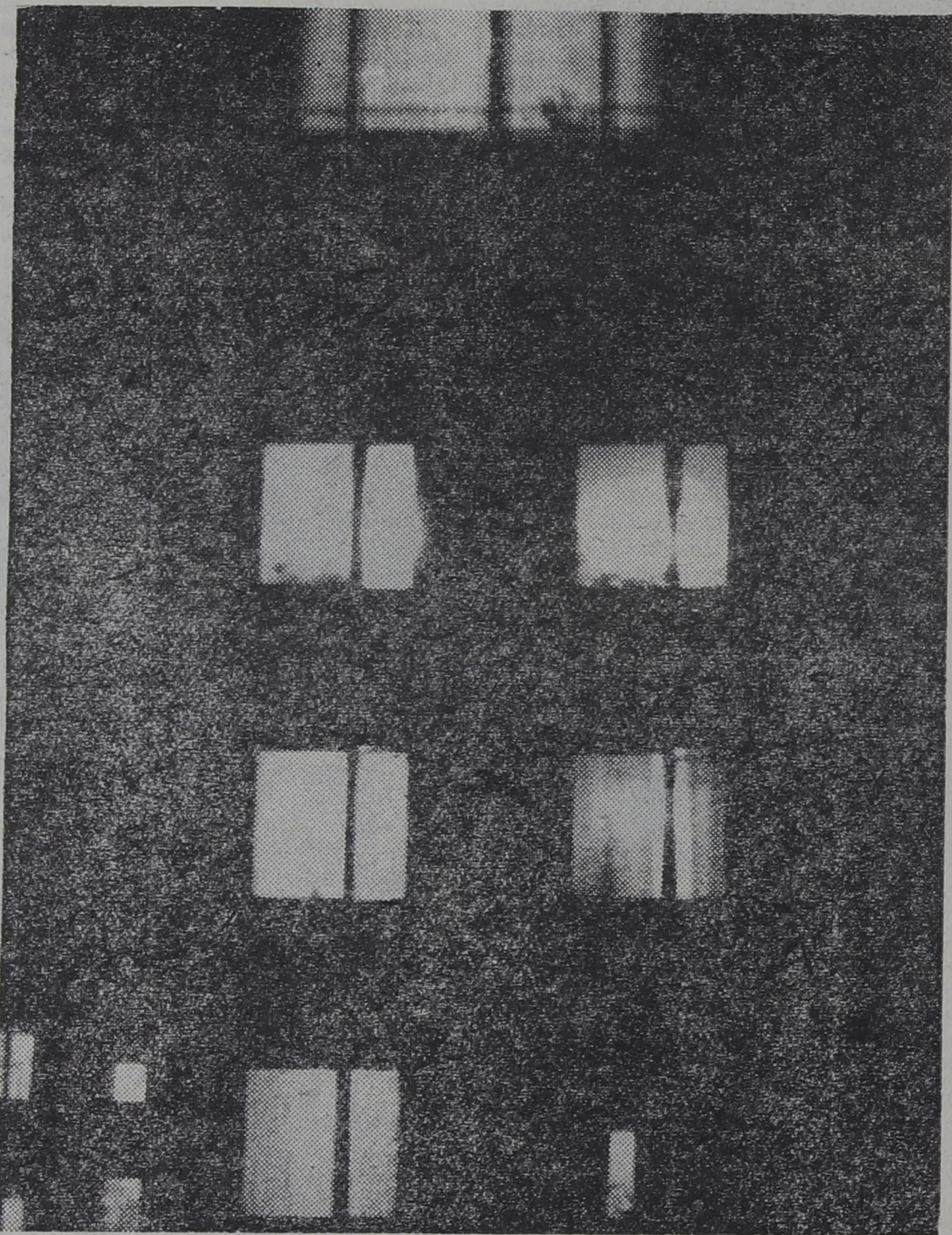
— Kiedy tu ostatnio było sprzątane?

— Dziś.

Niedowierzanie sierżanta jest uzasadnione: warstwa brudu konkuruje grubością z deskami podłogi, śmieci wypełzły z dość oryginalnego pojemnika, puste butelki po piwie walają się w kacie. Umeblowanie przypomina starą rupieciarnię, a jest to przecież biuro: stoją szafy z dokumentami, biurko z otwartą szufladą; leżą w niej noty służbowe o karach i obciążeniach pracowników. Książka kontroli natomiast — zanknięta w szafie. Malinowski również ogarnia pomieszczenie wzrokiem i reflektuje się: — Panie kierowniku, były imieniny, Józefa dziś.

— Fakt, wygląda pan na podchmielonego.

spokojna



Na widok milicjanta urywa się mówiący nie tylko gadka, lecz i oddech.

— Dobry wieczór, panie dozorczo. Co ci panowie tu robią?

— Pracownicy...

— Proszę dowody osobiste.

Jedynie dozorca i jeden z mężczyzn — wysoki, solidnie zbudowany, z obliczem dobrze świadczącym o stanie jego zdrowia — wyciągają dokumenty. Dwaj pozostali siedzą cicho i nieruchomo. Niski blondyn w dziergany bereciku spieszenie opuszcza okazały i głęboki „fotel babuni”, po czym siada na mało estetycznym krześle. Funkcjonariusz wybiera jednak miejsce przy biurku. Zagląda w dokumenty. — Pana adres, panie Bielawski, wydaje mi się podpadnięty. Czy pan czasem bimbru nie pędzi?

— Ho, ho, u mnie na Spokojnej bimbru? Żadnego bimbru nie ma w okolicy. Ja tylko do Malinowskiego przychodzę. Zonka wyjechała do Stanów, dziewczętności miesiąc sam jestem, na kumy nie pójdę, to tylko tu zębów trochę powywalam, pobalam i spać idę.

— Pan, panie Malinowski, znowu pije?

— Nieee.

— Tu pan się zabawia, a tam może samochód okradają?

— Kawę tylko piłem, ciastkiem zagryzłem.

„Berecik” odzywa się w obronie kolegi: — Jak on przyszedł, już było po wypiciu. — Jemu nic nie dali, on dozorca na służbie.

— Czy dyrekcja wasza jest już w Łomży?

Towarzystwo chętnie się rozgaduje w tym neutralnym temacie: — Diabli wiedzą, gdzie oni teraz są.

— Kto jest dyrektorem?

— Chyba Skrzypek.

— Pies wie. Skrzypek to Skrzypek. A gdzie urzęduje, my nie wiemy. Mamy kłopoty z poborami, jeszcze trzynastki nie przysłali.

„Berecik” uspokaja kolegę: — A ty czego się włączasz? To pana nie interesuje. Mów to, o co cię pan prosi, a nie głupoty.

Bielawski zrywa się i mówi przerażonym głosem: — O! już wpół do jedenastej, co my tu jeszcze robimy?!

Sierżant „zwalnia” go do domu, dwóch pozostałych zabiera do samochodu. Wprawdzie nie mają nic przeciwko okazywaniu funkcjonariuszowi na służbie dokumentów, ale przez pół godziny nie zdecydowali się na sięgnięcie do kieszeni. W Komendzie okazuje się, że „Cichy” ma przy sobie nie tylko dowód, ale i dwie butelki czystej: kupił rodzinie na Wielkanoc. Po spisaniu protokołu ma 20 minut na dotarcie do Piątnicy. „Berecik” zostaje zatrzy-

many. Nie wydaje się tym faktem zmartwiony bardziej niż koniecznością rozstania z paskiem od spodni i sznurówkami. Odmaszerowuje do celi ze śpiewem na ustach.

Mniej wesoło jest przed „Kameralną”. Funkcjonariusz zatrzymuje jakiegoś gościa. Okazuje się, że weselnego. Kilku innych biesiadników coś tłumaczy gwałtownie gestykulując. Brunet w garniturze z muszką i młoda kobieta usiłują „ratować” blondyna na dobrym fleku. — Panie władzo, odstąpi pan! No, o co chodzi? Mielimy wesele, chcieliśmy je przedłużyć jeszcze czy coś. Słuchajcie, panowie, taki wstyd rodzinie i na całą klatkę.

Blondyn z impetem wpada do środka: niespodziewanie rezygnuje ze stawiania oporu. Wrzeszczy tylko:

— Cholera, wesele było — i resztę drogi przebywa w milczeniu. Wracamy do śródmieścia. Weselny korowód z panną młodą w białej sukni w weloniku odprowadza do domu patrol milicyjny.

Na 22 Lipca ojciec z zięciem; jeden pijany, drugi bez dowodu. Przyjechał dziś w odwiedziny ze Szczecina, zmienił ubranie i dowód zostawił w marynarce. Zaraz skoczy, przyniesie. Kończy się na spisaniu danych. Kolejni obywatele legitymowani na tej ulicy mają pozwolenie na poruszanie się po godzinie milicyjnej.

Po osiedlu Jantar nikt się nie kręci. Na Swierczewskiego samotny gość zbyt łatwo poddaje się podmuchowi wiatru. Męczy go widocznie marsz wieczorną porą, bo stara się zatrzymać nadjeżdżającą nyskę. Stajemy. — Taxi pan szuka? — Po chwili mężczyzna ze zdziwieniem odczytuje na własnym zegarku, że jest 23.45, a potem — z równym zdziwieniem — zauważa, iż taksówka nie zatrzymuje się przed jego domem, lecz sunie w dół, na Nowogrodzką. — Coś takiego — tłumaczy. — Ja tylko u Józwy był, kolegi serdecznego. Jak była 23.00, to się zbierał, bo godzina milicyjna, ale jakoś nie zdążył. — Bardzo by chciał do domu, bo żona i dzieci troje, a on tylko kierowca na stałej pensji, niecałe pięć tysięcy. Milicja odwiezie do żony? Ale nie, w żadnym przypadku, lepiej już tu pości, bo żona by mu taką „kapitułę” dała! Cały miesiąc byłby zakućkany, ponieważ stara nie rozumie, że czasem trzeba coś wlać w gardło dla dezynfekcji. W głowę nikt go nie uderzył. Sam też nie upadł. Świeża krew? Nie, możliwe... A może to pieniek go w głowę stuknął, jak drzewo, rabał? Inaczej nie mogło być. Na pogotowie? Po co? Nic go nie boli. Kompletnie. A najlepiej do domu, bo po co to wszystko? Tylko u Józwy kuszticzek wypić. No parę, ale przecież to nie prowokacja ani polityczna robota. — Miej pan wzgląd na dzieci. Po co to wszystko, panie...

O północy jest już pięciu zatrzymanych, m.in. elegancki gość spod Łomży; bez przepustki, lecz ze stu tysiącami gotówki. — Zapłacenie kary będzie dla niego tym, czym wypicie z kolegą paru piw w „Polonezie”.

W znanej melinie przy Sadowej całkiem ciemno; zawiesiła działalność czy po prostu odcięto jej gospodarzem elektryczność za niezapłacenie rachunków? W innej — przy Rządowej — światło wprawdzie jest, gospodarz też, lecz śpi samotnie pod nie znającą obleczenia, brudną kołdrą. Tadeusz Idziaszek pokazuje mi jeszcze inny typ meliny: „otwartej”, bez właściciela, w suszarni pod „Kameralną”. Schodzą się tu, jak do klubu, stali bywalcy. Dziś jest tu (już lub jeszcze) pusto, ale gdy się ociepli, piwnica znów zakipi życiem. Ciekawe, co na to komitet blokowy? Czy nie można naprawdę zafundować kłódki, oczyścić i zamknąć tego pomieszczenia?

Zza budynku wynurza się jakiś pijaczyna. Konwersacja zaczyna się już w nysce: — Co się dzieje? Cemu się milicja mną interesuje?

— Bo jest godzina milicyjna, a pan chodzi po ulicy bez przepustki, nawet bez dowodu. Wie pan, że już po północy?

— Już po północy? — dziwi się szczerze, a po chwili namysłu decyduje: — No, dobrze, będziemy jeździć tak długo, aż pan mi powie prawdę. — I ostrzega: — Tylko proszę spokojnie, to nie uderzę. Bo ja jestem Mariano i mam swego człowieka. Bla-bla-wskiego pan zna? Franka?

— Nie, a kto to?
— Prokurator.
— No i co?
— To mój cioteczny brat.

W „pokoju przyjęć” funkcjonariusz dokładnie tłumaczy powód zatrzymania. Widocznie czasem trzeźwy z pijanym się dogada, bo „Mariano” melduje zrozumienie sytuacji lakonicznych: — Tak jest! — Po trzech minutach patrzenia na milicjanta wypełniającego druczki pyta:

— A czy pan wie, kogo pan zamyka? I co pan tak pisze? Mel-dunki na mnie?

Zanim mężczyzna zdecyduje się opróżnić kieszenie i podać swoje dane, mijają kilka chwil. Najtrudniej ustalić, gdzie mieszka, bo jest „dojeżdżający” — z Olszewa Góry. Numeru nie wie. Nie żeby nie pamiętał. Gdyby wiedział, to może by pamiętał. Tadeusz Idziaszek daje na razie za wygraną: — No, dobrze, kończymy. Niech pan podpisze, że te rzeczy zabrano do depozytu.

— Mogę podpisać, ale ja nie jestem żaden pan, tylko Marian, i jak pan chce wiedzieć, to teraz już muszę iść. Kończymy żarty. Proszę o telefon do komendanta. Muszę mu powiedzieć, że mnie zamykacie i że Franek za mnie poręczy. — Po chwili z celi dobiegają rzewne nuty znanych pieśni.

Jedziemy znów na Spokojną. Malinowski śpi z ufnym wyrazem twarzy; co może się przydarzyć złego, skoro MO ma jego plac na oku? Barakowóz lśni czystością. Sierżant budzi go jednak i przeprowadza umoralniającą pogadankę; przypomina, że go w końcu wyrzuci z pracy, a ma przecież dwanaścioro dzieci na utrzymaniu. Każe się przebiec po placu dla orzeźwienia i przepędzenia snu. Z rozpędu Malinowski za-latuje do jakiegoś domku. Za chwilę pojawiła się wysoka postać Bielawskiego. — Wyszedłem — mówi — bo szwagier mnie zbudził.

— A po co do pana przyszedł? Po wódkę? Szwagier przyznał się nam, że pan handluje wódką. Rozepnie pan ten kożuch!

— No, co? Koszulę mam — śmieje się Bielawski. — A wódki nie! Owszem, cały czas mam w domu pół litra. Jak trzeba, pójde, przyniosę.

— No, niech pna rozepnie kożuch.

— Proszę bardzo! a po chwili już mniej enuzjastycznie: — No, przyszedł szwagier i powiedział, że potrzeba...

— Że milicjanci znów przyjechali i trzeba spróbować załatwić tę sprawę?

— Ja mogę zaraz rozbić butelkę.

— Z groszem się pan nie liczy ani z trudem sprzątania. Jaka to, dep-tana?

— Gdzie tam, spirytus rozrobiony. Proszę bardzo wachać, próbować...

— Zabiera pan tę butelkę i wreszcie idzie spać. A niech pan pilnuje szwagra, żeby roboty nie stracił

Przejeżdżamy cichymi ulicami. Już nic się chyba nie zdarzy. Nagle z cienia wynurzą się dwie sylwetki i biegiem skręcają na Mickiewicza. Kierowca naciska pedał gazu. W lot rozumie, że sprawa może być poważna. Samochód przyhamowuje na wysokości uciekających. Milicjanci wyskakują w bieżnię. Uciekający wpadają do furtek posesji. Widocznie niedaleko, bo niemal natychmiast sierżant wraca trzymając za kołnierza młodego mężczyznę. Drugi uciekł. Tadeusz Idziaszek nie rezygnuje z pościgu. Wypatruje skrytego w krzakach człowieka i zaczyna się gonitwa, w której największym sprzymierzeńcem uciekającego jest ciemność. Dopiero za ósmym płotem uciekający przepada skutecznie. Dobrze, że jest chociaż jeden podejrzany. Jeśli dokonali jakiegoś przestępstwa, łatwo będzie znaleźć drugiego sprawcę. Zresztą po chwili z łatwością ustalamy, gdzie mieszka i jak ma na imię; nie wytrzymały nerwy matki, która widziała początek akcji.

W Komendzie okazuje się, że podejrzananemu bardzo łatwo pocią się oczy. Pokornym głosem wyjaśnia, że ma żonę, troje małych dzieci oraz imieniny. Zaprosił kolegów do restauracji, a gdy wracali, kumpel zaproponował wstąpienie na jednego i się zasiedziało. Jak zobaczyli samo-

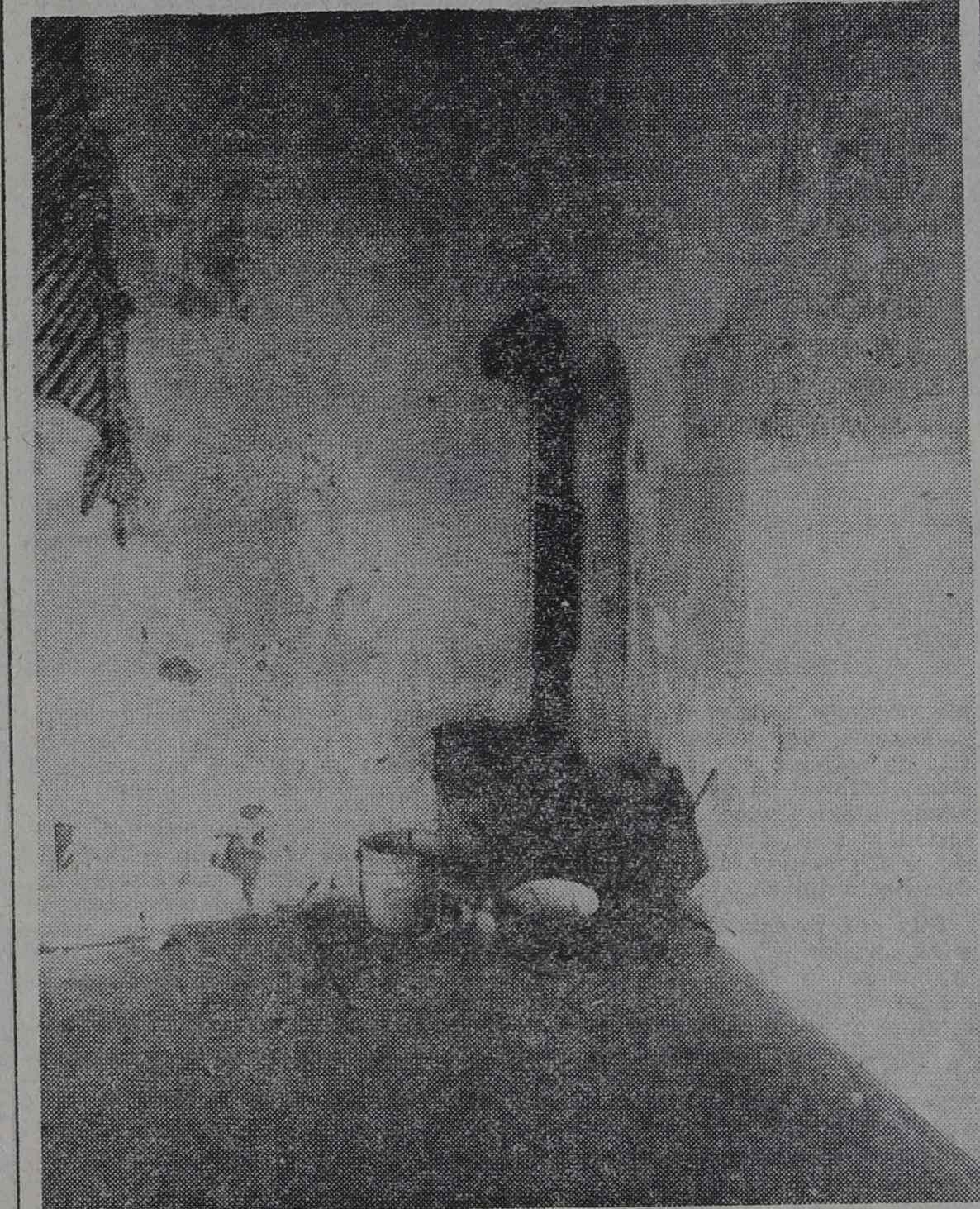
chód, wystąpił u nich odruch niekontrolowany: zaczęli uciekać. — Jeśli człowiek ma coś na sumieniu... Ja przecież wiem, że godzina policyjna.

— Milicyjna, to po pierwsze, a po drugie: czy kiedyś milicjant pana skrzywdził, że myśli pan o nas jak o tygrysach rzucających się na świeże mięso? Skąd ja mogę wiedzieć, że ucieka zapóźniony solenizant, a nie chuligan, który przed chwilą obrobił kiosk czy sklep? Ładnie by się pan czuł, gdybym pana, na przykład, gazem potraktował?

Kilka dni temu, 15 marca, dwaj mężczyźni, przyłapani na kradzieży w „Mazowieckiej”, również nie reagowali na żadne ostrzeżenia. Dopiero po użyciu broni palnej zrezygnowali z ucieczki. Byli to — dotychczas nie karani — młodzi (27 i 28 lat) pracownicy „Narwi” i LPB. Uciekający są podwójnie podejrzani

Solenizant przedstawia widok tak żałosny, że sierżant postanawia mu tym razem darować winę; jest przekonany, że delikwent zapamięta na długo dzisiejszą przygodę. Ponadto żał mu dzieci, bo rodzina dość liczna, a zarobki ojca niewielkie. Odwozimy go pod dom.

n o c



Po godzinie drugiej już się prawie nie spotyka „niewinnych”; sen młodych podchmielonych i zapitych również dozorców. Kontrolujemy sześć stróżówek przy Gwardii Ludowej.

W WZSR-ze dozorca nie daje się dziś zaskoczyć. Kiedyś milicjant udowodnił, że można mu sprzed nosa ukraść jego własną jawkę; potem ten wyczyn powtórzył skutecznie prawdziwy złodziej.

Czuwa też straż LPB. W ogromnej większości przypadków stróżów-ki nie są estetycznie urządzonej pomieszczeniami. Ta jest po prostu obskurna: ma drzwi żałosnie nad-szarpięte, mimo że na miejscu jest stolarnia, wewnątrz odrapany stół, który nie zachował nawet pamięcio-wej oryginalnej barwy, nadgryzio-ny telefon, ledwie zapięta szafa. Za to wszystko oklejone kolorowymi fototami pornograficznymi i ilustracjami polskich stróżów ludowych.

W następnej wartowni nikt nie zauważa kręcących się przybyszów. Przez okno widać śpiącego mężczyznę. Nie reaguje na światło latarki. Potem twierdzi z uporem, że nie

spal; jest arogancki i agresywny. Tu również kolorowe afisze, typowo motoryzacyjne. Wiadomo: „Trans-bud”.

W Centrali Nasiennej — bez zarzu-tu, natomiast stróżówka w Spółdziel-ni Ogrodniczo-Pszczelarskiej robi wrażenie opuszczonej. Wałęsamy się po placu; może stróż gdzieś na prze-gładzie, może zmienił lokal, a może go porwano? Pukamy do wszystkich możliwych drzwi. Wreszcie coś się rusza w barakowozie. Po dobrej chwili zaspany dozorca otwiera drzwi.

— Dzień dobry, jak się panu spa-ło? Przyjemne sny?

— Ech, jakie tam spanie... Może trochę było oko przymknięte.

— Ale ja na ten fakt oka nie mo-gę przymknąć.

Okazuje się, że książka kontroli jest we właściwej wartowni. Trze-ba przynieść. Tymczasem powoli budzi się, śpiący na biurku w dru-giej części pomieszczenia, okazały młody mężczyzna. Przybył tu około ósmej odwiedzić kolegę. Do domu, choć dwa kroki stąd, nie poszedł, bo był napity. Pociągali troszkę w dro-dze z Pisu do Łomży. W delegacji pracuje, ale na sobotę do domu pój-dzie.

Wróci tam szybciej, niż się spo-dziewa. Szybko zbiera z podłogi czapkę, wciska na uszy i — bez „dziękuję” czy „do widzenia” — śpiesznie kieruje się do wyjścia.

Dozorca, oprócz mało pochlebnej no-tatki, otrzymuje polecenie zamyka-nia bramy na kłódkę. Nie bardzo mu się to podoba. — W nocy cza-sem przyjeżdżają, wyjeżdżają, więc trzeba by było wciąż chodzić do tej bramy. — Po prostu niektórzy z no-cnych stróżów uważają, że za otrzy-mywane pieniądze wystarczy prze-trwać noc w niewygodnej pozycji, a społeczne mienie powinno się samo upilnować.

Po czwartej zaczyna się rozwi-dniać. Można wracać do Komendy, gdzie czeka niemało papierkowej ro-boty, a potem — przed szóstą — roz-wieść patrole na punkty blokadowe.

— To była jednak spokojna noc. Spodziewałem się, że na Józefa mo-że być gorzej — podsumowuje Ta-deusz Idziaszek.

Spokojna łomżyńska noc zamyka się bilansem: kilkunastu zatrzyma-nych, kilka spraw w trybie przy-spieszonym, kilka interwencji, trzy włamania (sklep, kiosk i piwnica) oraz dwa pożary.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Dziś publikujemy tylko dwa listy z bogatej poczty „muzelnej”

*

Zachęceniu oferowanym odpustem od ognia piekielnego spieszymy do-nieść, że oczekujemy przedstawicie-la Waszego Muzeum Straszylei, De-monów i Niesamowitości, który do-kona wyboru i zabierze dziesięć ma-sek straszylei. Poważniejsze rekwi-zyty diabelskie, jak na przykład tron Lucyfera, czy skóry lub rogi, są jeszcze potrzebne naszym teatralnym diablom.

mgr inż. JERZY ZALESKI
Główny Inżynier Teatru Polskiego
w Warszawie

*

Aczkolwiek różne złe licha na-wiedzą nasz teatr, to jednak sta-ramy się nie kultywować ich pa-mięci. Walczymy z nimi jak możemy różnymi sposobami: to prośbą, to groźbą, to ignoracją. Na razie skut-kuje. Gina bez śladu. Nie dysponu-jemy więc żadnymi dowodami ich istnienia w postaci strojów, masek i innych czartowskich atrybutów. Od czasu do czasu przemknę pod murem czarny kot o fosforyzującym spojrzeniu, ale żaden śmiertelnik nie jest w stanie go oswoić. Z ża-lem więc odmawiamy akcesu w Wa-szym diabelskim przedsięwzięciu. A-le uszy do góry! Inni mniej odpor-ni na moce piekielne na pewno po-spieszą Wam z pomocą. Życzymy powodzenia!

Za Nieustraszonego Dział Literacki
EWA DROZDOWSKA
Konsultant Programowy Teatru im.
Stefana Jaracza w Łodzi.

*

Niezmiernie ucieszyła mnie wiadomośc podana w prasie, że po trzy-miesięcznej przerwie „Kontakty” ponownie wznowią swoją działal-ność. Nareszcie.

Jestem już osobą w takim wieku, która nie wymaga zbyt wiele od życia, ale w dalszym ciągu odczu-wam głód słowa — mądrego, praw-dziwego, z odrobiną humoru i ref-leksji nad życiem. Właśnie to wszy-stko znajdowałam w Waszym ty-godniku i dlatego go tak chętnie i systematycznie czytałam. Nie mogę doczekać się momentu, kiedy znowu usiądę w fotelu z „Kontaktami” w ręku. Ciekawi mnie też bardzo, jak-że one teraz będą, czy nastąpią zmiany w treści, formie, w sposobie wyrażania myśli, tego co czują, wi-dzą, jak myślą tak bardzo bliscy mi przez swoje artykuły dziennika-rze. Akceptowałam ten tygodnik ta-kim, jakim on był i chciałabym, a-by takim pozostał. Choć pragnę po-wiedzieć, że dosyć często nie czyta-łam artykułów poruszających pro-blemy nurtujące mieszkańców wsi. Zupełnie obce są mi kłopoty i dą-żenia tych ludzi, nie znam ich co-dziennych zmartwień i po prostu dlatego nie potrafię wczuć się w ich położenie.

Chciałabym też przedstawić swoje propozycje odnośnie zawartości treściowej „Kontaktów”. Pragnęła-bym, aby na ostatniej stronie ty-godnika była drukowana jakaś cie-kawa krzyżówka. Oprócz tego mam jeszcze dwa pomysły. Jeden — to drukowanie w odcinkach jakiejś ciekawej powieści znanego pisarza polskiego lub zagranicznego (oso-biście nie cierpię kryminałów). Drugi — poświęcenie pół lub nawet jednej całej strony na poezję. We współczesnym świecie jest tak ma-ło refleksji, więc mam nadzieję, że jej odrobina nikomu nie zaszkodzi.

Emerytka z Łomży
(nazwisko do wiadomości redakcji)

5

KONTAKTY
11.IV.1982



— Schizofrenik! — sprężyła się urzędniczka, gdy padło jego nazwisko. — Szeffie! Szeffie! Szeffie wie, do kogo jeżdżą teraz dziennikarze?

— Chory paszkwilant — z politowaniem pokiwał głową szef Komitetu Gminnego. — A mamy w gminie tyle poważnych problemów. Taki chleb! Chyba zaczniemy racjonować...

„Kryspin, synu! — napisał kiedyś ojciec. — Musisz zadbać o swój wygląd zewnętrzny i o schludność. Zgól brodę i noś się jak inni. Pamiętaj o tym, że między ludźmi jest — jak Cię widzą... Wreszcie staraj się o to, ażebyś doszedł do czegoś, wybijał się wyżej”.

Kryspin nie zamierza się obrażać. Schizofrenik, szajbus? Proszę bardzo. Nie zgoli brody. Ubierał się będzie, jak zechce, praktycznie, bo tak wygodniej. Też ma poważne problemy, ważniejsze od brody. Dojść do czegoś — to rozumie. Nie wie, czy o to chodziło ojcu: dojść do wiedzy, którą mógłby służyć innym. Nie z pozycji: słuchajcie, maluczy w duchu. Z ludzkiej. By inni nie musieli powtarzać drogi Kolumba.

Kryspin skończył w Warszawie technikum ekonomiczne. Zdawał na matematykę, ale dwukrotnie oblał język obcy. Mógł pokiwać głową i próbować raz jeszcze. Nie chciał. Wrócił na wieś, do matki. Bo Kryspin zawsze miał dwa domy: w Warszawie i Białosłowi. Ojciec — kolejarz — chciał w latach czterdziestych przyspieszyć we wsi socjalizm. Przyszli więc w nocy chłopcy z lasu, zerżnęli ostrzegawczo dupę, połamali trochę kości. Pojechali na kurację do stolicy i — niedawno doczekał tam emerytury. Jako inżynier architekt. Matka została na Białosłowi; tu była jej ziemia, dom rodziców i dziadków. Dziś ojciec na wieś prawie nie przyjeżdża, ma do niej utrwalaony stosunek. „Na ogół z naszym chłopstwem — przestrzegał Kryspina w liście — bardzo ciężko jest coś uczciwie załatwić. W większości przypadków chłop stara się oszukać, dostrzec własną korzyść. Dlatego jeszcze raz ostrzegam Cię. Nie daj się wykiwać”.

Kryspin nie ocenia ojca. Nie ocenia też jego przekonań. Tu nawet mógłby powiedzieć: miał rację. I zaraz dodać: pozornie. Szło wówczas o budowę nowoczesnego, amerykańskiego silosu. Namówił do niej rolnika z sąsiedniej wsi, gdy jednak doszło do opłacenia projektu, szybko uciekł się wycofał. By nie dać ojcu argumentu: „a ostrzegałem”, wysłał mu te parę groszy z własnej kieszeni. Chłopu zaś projekt dawał darmo. Silosu nie ma, projekt gdzieś się wala. Wsi przez to nie ocenia, jak ojciec, bo kto ją uczy nowoczesności? Zresztą, jak wówczas miałby oceniać siebie?

Powiedzmy — taki pryzmat: nora, w której mieszka. Widok ogólny: rozbebeszony barłóg, stół, szafa, piec, jedno krzesło. Zbliżenie — nie podmiatane tygodniami śmieci, pół wozu butelek i słoików, puszki po konserwach, dętki od roweru, opona, koło, żelastwo niewiadomego przeznaczenia, zużyte baterie, dżem, filmy, słoiczki po lekach i z lekami; mydło, chleb, zepsuty budzik, adapter, torebki z mąką, kaszą i cukrem, kilka par butów, pół butelki bacchusa, dwie lornetki, kubki, potężny czajnik. Wśród tego, w tym, na tym — stręty gazet, podręczniki, książki. W podobnym porządku: T. Karwowski „Kompleksowa mechanizacja produkcji ziemniaków”, H. Shapley: „Galaktyki”, Z. Ruszczyk: „Żywność zwierząt i paszoznawstwo”, K. Imieliński: „Seksuologia biologiczna”, M. Kosbman: „Historia Białorusi”... Jedno okno przesłonięte okiennicami, drugie — zazdrońska.

Inny pryzmat: imię i nazwisko — Kryspin Baturó; wiek — trzydzieści trzy lata; zawód — technik ekonomista; miejsce pracy (potwierdzone urzędowo) — nie pracuje; miejsca pracy, gdzie podejmował stałe zajęcia — Machów, Katowice, Orzesz, Białosłowi, Bielsko-Biala, Białosłowi... Kopalnia siarki, przedsiębiorstwo budowlane, huta szkła, gees, POM, przedsiębiorstwo budowy elektrowni... I Choroszcz! Pracownik? Nie, pacjent. Kilkakrotny.

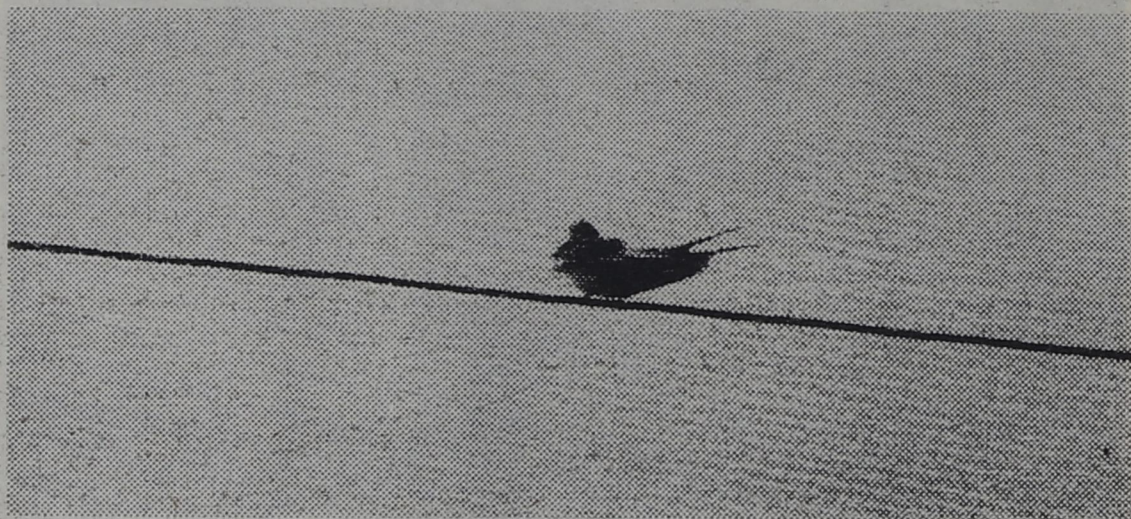
Więc co? Kiwanie głową. Z politowaniem. Szajbus! Dobrze, zgoda. A ten szkopał — mieszkanie — uporządkuje w dzień, zgoli brodę, wymyje się dokładnie, założy krawatkę, będzie się uśmiechał i mówił

niepokorny - czytaj: szajbus

serdeczne „dzień dobry”, chwyci dziarsko łopatę w przedsiębiorstwie melioracyjnym (podstempluje gdzie trzeba) i będzie tylko kopał? Co wtedy? „Kryspin Baturó jest porządnym obywatelem...” Czyżby nagle urodził się nowy człowiek?

Kryspin nie roztrząsa tego złościwie. Po prostu zastanawia się, jak oceniać ludzi. I wychodzi mu, że trzeba analizować siebie; niekiedy dzień po dniu. Móc korzystać z własnych doświadczeń, to ciągle eliminować błąd, ciągle widzieć swój właściwy obraz. I nie idzie tu o wydumki spłodzone o zmroku w leniwym łóżku, we wpatrzeniu w sufit. O to idzie, co zrobić? Teraz, rozsiedlisz się na nie zasłanym wyroku, możemy o tym pomówić.

Po naukach w Warszawie Kryspin przyjrzał się bliżej gospodarstwu matki. Dziesięć hektarów, samotna kobieta z młodszym bratem, więc wydawało się: jest co robić. Tak jak we wdrożeniowym gospodarstwie poczynił sobie Jerzy Włodarczyk z sąsiedniej wsi, do czego zachęcały specjalistyczne czasopisma, o czym mówili gospodarze na kółkowych zebraniach, które odbywały się w jego domu. Czyli robić nowoczesnie. Posadził maliny. Na drugi dzień znalazły się pod skibą. Brat czuł się tutaj panem i od początku wszyst-



kie pomysły traktował jako próbę panoszenia się „warszawiaka”. Doszło do ostrego spięcia. Od dzieciństwa chorował na padaczkę, miewał wtedy ataki, więc matka zwołała sąsiadów i — pierwszy raz znalazł się w Choroszczy. Wypisali go po dziewięciu dniach.

Gdy już przestało mu się cokolwiek „wydawać”, wsiadł w pociąg. Wylądował w Machowie. Zakreślił się przy kopalni siarki, obejrzał ostatnie dwieście złotych i ruszył do Katowic. Został betoniarzem. Po kilku dniach kierownictwo odkryło jego maturę i skierowało na budowę w hucie szkła w Orzeszu, z obowiązkiem prowadzenia dzienników budów. Nie mogło to trwać długo; zbliżała się wiosna, ciągnęło go do Białosłowi. Brat poszedł do wojska, więc znowu wydawało mu się... Mógł obrządać krowy, nosić wodę i — wykonywać polecenia. Pomyślał, że skoro nie można niczego zrobić w domu, trzeba spróbować pracy dla innych. Zebrał w „Klubie rolnika” kilka osób, powiedział: „Zróbnym coś w końcu! Z sobą i dla siebie”.

Wcześniej z kilkoma chłopakami wybudował na miejscowym stawie trampolinę; wiedzieli, że chwyciło. Tak powstał Klub „Słońce i pogoda”. O jakimś sposobie ocalał klubowy zeszyt z protokołami. Nikt ich do papierkowej roboty nie zmuszał — nie byli niczyją agendą — ale ktoś postanowił ważniejsze, czasami śmieszne, rzeczy zanotować. Jak w protokole numer trzy: „Nieobecni na zebraniu: Bartek Jeżak — pijany, Piotruś Bek — usprawiedliwiony”. Pod tym skrupulatny klubopis zapisał: „Główne kierunki w początkowym okresie działania klubu”. Ułożyły się w sporą litanię: „nauka piosenek, nauka tańców, zespołowe odwieczanie tutejszego kina (wybrane filmy); wspólne czytanie poezji — wzbogacanie wiadomości, grupowe wycieczki krajoznawcze, dorywcza pomoc w pracach polowych, orga-

nizowanie zabaw, kontakty z innymi klubami”.

Wkrótce wybrali hymn klubu: „Zawsze niech będzie słońce”, ukuli zawołanie: „Nie pij wódki, nie rób długu — miń gospodę, wstąp do klubu”. Ich robotą zainteresował się doktor Wojnowski, lekarz-społeczny. Zaprosił Kryspina na pogawędkę. „Myśmy też kiedyś dużo chcieli — powiedział. — Potem: choćby uporządkować park...” — machnął z rezygnacją ręką. Kryspin wrócił więc do ludzi z pomysłem. Piotruś potem odnotował: „4.03 (sobota), godzina 19.00. Wszyscy członkowie klubu udali się do parku. Po drodze odbyła się (dziś nieudana) próba poloneza”.

W trzy dni później na zebraniu pojawił się sam doktor. „Takie sprawy, jak kontrola prawidłowej działalności instytucji — podsumował wcześniejszą dyskusję — to poważne życzenie. Nie należy bujać w obłokach, lecz patrzeć, co dzieje się wokół nas”. Miga gdzieś jeszcze dwuwiersz: „Prezes powiedział, że kasa będzie w prawej kieszeni jego spodni”, i nagle zapiski urywają się tak nieoczekiwanie, jak rozleciał się sam klub. I bynajmniej nie doktor — przyjaciół swą trzeźwością uziemił „Słońce i pogodę”; uporządkowali park, zorganizowali kilka zabaw, włączyli się do zbiórki pieniężnej na dom kultury (stoi rozbabrany do dziś). Udało się, więc chcieli więcej.

Trudno dziś ustalić z kim przegrał. Fakt, że przy każdej próbie rozrachunku pojawia się biurokracja. I ludzie ukryci w jej okopach.

Wcześniej Kryspin podpadł poważnie kilku ważnym w Białosłowi. Podjął właśnie pracę w geesie, a gdy potrącono mu członkowskie, poczuł się rzeczywistym udziałowcem spółdzielni. Więc jako członek dbał o swoje dobro, poczępiał do prezesa.

— Przyjeżdża transport zboża, wazy 15 300 kilogramów. Wystarczy przesłutować i osiąga 16 800. Dziwne, prawda?

Prezes podał rękę, uściśkał: „Dziękuję. Zostaw to mnie, załatwię”.

Do roboty przyszedł Kryspin jeszcze jeden dzień. Wydało mu się nagłe, że mógłby spać z przyczepy, potknąć się lub coś w tym stylu. W Białosłowi uznano ogólnie, że rozrabia, czyli jest chory. Matka zabrała go zatem do lekarza, ten wręczył skierowanie do Choroszczy. „Kochani — rzekł spokojnie. — Jeśli tak, to mam was serdecznie w dupie. Do zobaczenia”.

Zobaczyli się szybciej, niż przypuszczali. Matka z pomocą milicji wyciągnęła go z autobusu i skierowanie się przydało. Uciekł z Choroszczy po dwóch miesiącach. Pisał potem na posterunku oświadczenie. On, wariat, że zobowiązuje się nie zakłócać spokoju. Napisał i... prysnął do Bielska-Białej. W przedsiębiorstwie budowlanym potrzebowali cieśli. Zbił więc szalunki i patrzył. Tam poznał, na przykład, sposób „przechowywania” betonu: spychacz kopie dół, podjeżdża dwadzieścia wywrotek, wylewa, spychacz wyrównuje teren. Robił oczy, więc ludzie „ha, ha, ha” i stuk-stuk w czołko. Co za dziwak! Machnął ręką. Kiedy jednak kierownik zaczął przed wypłatą znowu wypielniać kartę robót z powietrza, powiedział mu: to złodziejstwo! Jeden gra w kieszonkowego ping-ponga i dostaje

dwa razy więcej od tego, któremu pot po dupie sypia! Skończyła się stolarka po dwóch miesiącach. Wrócił do Białosłowi. POM zatrudnił go jako ślusarza. I ta firma bawiła go nie mniej niż poprzednie: tyrał jak osioł — dostawał głazówkę pensyjną; był na zwolnieniu chorobowym — wypłata przekraczała wszystkie dotąd otrzymane. W czerwcu przyjechał do zakładu poseł. Urządzono spotkanie. Przemówienia, oficjaliki; ludzie siedzieli, kiwali głowami, milczeli. Wstał więc i powiedział: „Mamy tu młodych zdolnych inżynierów. I co, poupychani po kątach, marnują się”. Powiedział jeszcze o kawie do picia i świetlicy, że nie ma się gdzie umyć. Zresztą nazajutrz dyrektor przypomniał mu wszystko słowo w słowo. Z przycinkiem-wykrzyknikiem: „Jakim prawem! Bez mojej wiedzy i zgody!”

Od początku zajmował się pomowskim sportem, od czasu do czasu zarywał dzień, dwa, załatwiał różne sprawy. Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. Po paru tygodniach takie dwa dni podsumowano zwolnieniem. Natychmiastowym.

— Przecież nie jeździłem w swoich sprawach. Kierownik o tym wiedział. — A kto cię o to prosił?

Formalnie wszystko w porządku. Zaczął więc pracować u okolicznych rolników. W zimie skończył kurs rolniczy, obłożył się rolniczymi czasopismami i książkami. I patrzył. Taki Sapowicz — nowoczesna owczarnia, maszyny, otwarte, myślenie, a obok konik, płachta, strzecha i byle wyżyć. Ziemia tu nie najgorsza, z rozległymi łąkami; nic, tylko iść naprzód. Cóż, kiedy poprzedni rok mokry, zgnióło wszystko. Następny podobny; ratowali ludzkie pokosie, po dwa. Czekali na słońce, modlili się, wyciągali łapę do Boga. Sam wierzy, ale wie, że mogą się obejść bez łaski. Trzeba tylko wiedzieć, jak. W Dębowej wypatrzył mocno zapuszczony, ze zwalką, świerkowy młodzik. Dogadał się z właścicielem, wyrąbał pięć przyczep żerdzi, uporządkował w zamian las. W zimie zbił trzysta pięćdziesiąt daszków do suszenia siana. Sapowicz zgodził się, by zastosował je u niego. Innych zaczęli na ulicy, nachodził na łąkach. Przynosił, bez zgody właściciela, po jednym daszku, instalował. Niech dotkna, obrnacza, przekonają się naocznie. Wysuszył tą metodą osiemnaście hektarów. Sapowicz pozwolił mu także zademonstrować plotek szwedzki. Rewelacja: w pogodę siano zwozić można po dwóch dniach, w deszcz — nie gnieje. Sumując doświadczenia napisał artykuł: „Nie śusz siana na ziemi”. Wylizył straty wynikające z niewłaściwego suszenia, pokazał zalety stosowanych metod, napisał, jak wykonać daszki i plotki, z czego, jakie są koszty. I — najważniejsze — zyski. Tuż przed następnymi sianokosami wydrukował go „Młody Rolnik”. Potem, w troghe innym ujęciu, Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w swym piśmie „Demeter”.

Tego lata poszło już łatwo. Z daszków skorzystało prawie czterdziestu rolników, z plotków szwedzkich — kilku. Zaczął (dziesięć złotych za wypożyczenie daszka) zarabiać. Kupił więc w Łomży kamerę „Crestline” za trzy i pół tysiąca, kilka szpul filmów, w Warszawie projektor „Ruś”. Niech zobaczą, jak się to robi: warczy „Ruś” jak traktor, drży obraz, ujęcie goni ujęcie, rozlewa się szara plama „najazd” na słońce; machanie wideł, rząd założonych potrawem daszków, nagły horyzont, ciemna sylwetka gospodarza, nieoczekiwane zbliżenie i zaraz potem panorama, jakby wlażył popiechnie na wieżę kościoła. Zaczyna się projektor: biała plama, czarna...

Można wstać, rozprostować nogi, choć Kryspin, przewijając szpulę, mówi coś o biogazach, o klubowych pogłosach sprzed kilku lat: sporcie, kulturze, młodzieży. A włączył się dość mocno. Czy to ważne, że gdy coś drgnęło, nieoczekiwanym reprezentantem młodzieży u władz stał się syn naczelnika? Ważne, by coś z tego wyszło. A potem — by „Biblioteka rolnika” nie leżała w bibliotekach, artykuł o nowościach nie wymuszał wrzucenia ramion. Bo dziś wsiada się na rower, wchodzi do sklepu, kupuje bułkę, pół chleba, dwa. A jutro? Oby nie trzeba było ustawiać się w kolejce. Z kartką.

Władysław Tocki
Fot. GABOR LÖRINCZY



Czyjeś ręce tarmoszą moje ramie. — Konin! — Błyskawicznie chwytam kołuch i wyskakuję z pociągu. Chłód, ciemność, ciśnie idą w parze z moją nadzieją.

W dworcowym barze spośród łbą tyją na mnie niechlujnie odziani młodzieńcy. Na herbatę bez cukru czekam pół godziny. Koło mnie dwie panie zastanawiają się, czy kobieta po sześćdziesiątce może współżyć seksualnie.

Jest środek nocy, gdy wsiałam do taksówki. Kierowca domyśla się, dokąd zamierzam się udać. Wywozi mnie w pole, dalej jechać nie chce. Placę. Przede mną ciemność i pustkowienie. Idę z sercem na ramieniu. Wreszcie docieram do zabudowań człowieka, którego rozgłos przyciąga największych sceptyków. Dostrzegam długą kolejkę samochodów. Jakiś mężczyzna podchodzi do mnie i wręcza mi, napisany na kartce, numer. Czekam. Ludzi gromadzi się coraz więcej. O uzdrowiaczu dowiedzieli się przypadkowo, od znajomych, z prasy. Wymieniają uwagi, komentują fakty. Jedni jeszcze nie czują się dobrze i nie zauważają u siebie poprawy, pomimo że są tu już któryś raz z rzędu; inni chwałą rolnika spod Konina, nazywając go prawdziwym cudotwórcą.

Młody chłopak opowiada mi, jak pogrążył się w kompleksach. Skolioza szpeciła mu plecy, a wszelkie starania o to, by ten stan rzeczy zmienić, nie dawały efektów. Pływał, gimnastykował się, starał trzymać prosto, ale nie było lepiej. Pod Koninem jest już siedemnasty raz. Przyjeżdża tutaj, jak mu kazano, raz w miesiącu i widzi u siebie ogromną poprawę. Uzdrowiacz zakazał mu uprawiania jakiegokolwiek sportu. Podobne dyspozycje otrzymali i inni, z którymi staram się nawiązać rozmowę. Nikt się chyba tym specjalnie nie martwi. Dla nich najważniejsze są efekty, koniecznie widoczne i pozytywne.

Ci, co przybyli pierwszy raz, milczą. Żmudne wyczekiwanie, ziąb, senność, nie sprzyjają rozmowie. Przyglądam się młodej dziewczynie. Jest bardzo ładna. Niespodziewanie stwierdza: — On jest moją ostatnią nadzieją! — Kiedy się odwraca, rozumiem, dlaczego. Piękno twarzy zwycięża szpetność garbu.

Po kilku godzinach uchylają się drzwi do obory. — O, to tam! — pokazuje jakaś kobieta palcem. Już jestem przy drzwiach. Wokół mnie gromadzi się grupka ciekawskich. Przywilej wejścia w prywatność człowieka uważanego za mit trzeba wywalczyć. Nie polegamy na fakcie, że reprezentuję prasę. Takie sytuacje, jak ta, nie dają szans protekcji losu. W słabości trzeba znaleźć siłę.

— Nie jestem znachorem! Nie będę gadał z nikim! — jego głos donośnie dźwięczy w małym pokoiku przy oborze, w którym mieszka z żoną. Kilka par oczu z ciekawością wlepia we mnie wzrok. Decyzja jest jednoznaczna. Mimo to siadam. Jego niechętnie spojrzenie zbywam śmiechem. Do rana pozostają jeszcze dwie godziny; całonocne stanie przed drzwiami jego domu czuję w kościach. Mogłam co prawda stać w oborze, wśród krów, gdzie jest ciepło, ale tam już nie było dla mnie miejsca. Zirytowane zwierzęta głośno ryczały, wydając na brudne buty przybyszów strawiony pokarm.

— Niech pani już siedzi! — wyrwa mnie z zadumy jego łaskawość.

Edward Matuszak, uzdrowiciel spod Konina, częstuje mnie amerykańskim papierosem. W rogu pokoju głucho buczy ogromna lodówka. Nad nią wisi wizerunek Matki Boskiej. Pytam gospodarza o cienie i blaski jego zajęcia.

— Pani — mówi — ja nie potrzebuję forsy. Mam krowy, świnię, duże gospodarstwo. Za leczenie ludzie coś tam dadzą, a jak jeżdżą po Polsce do chorych, to wszystko tracę. Taki Harris coś z tego ma. Przy najmniej go suto wszędzie przyjmują i dmuchają jak na kurczaka. Ile razy się spotkamy, zawsze klepiemy się na powitanie po plecach. Fajny chłop, tylko oszust. Mojej żonie też nie pomógł.

Mit o tym człowieku z wzorcowo prostym kręgosłupem, o dużych, grubych rękach, niekształtnych palcach i nieufnym, lecz wesołym spojrzeniu, o człowieku z ogromnymi zdol-

nościami manualnymi, zbyt ostro kontrastuje z jego prostotą bycia.

Ciekawi mnie, jak posiadał tę wiedzę, kto go tego nauczył? Opowiada, że jego ojciec na lecznictwie się zna, ale już nie praktykuje, bo jest za stary. U nich w domu leżała długo stara, pośliznięta książka, napisana po niemiecku. Jakaś znajoma lekarka przetłumaczyła ją na język polski, dzięki temu zorientowali się, o co w niej chodzi i co ilustrują tajemnicze rysunki kości. Opisy sposobów oddziaływania na kręgosłup zaintrygowały całą rodzinę. Ta książka stała się dla Matuszaka podreęcznikiem nauki o kręgosłupie, o

ciwko obory. Przed nimi stoi już długa kolejka osób.

— No — popycha mnie — idź, pani, i spróbuj mi pomóc!

W oświetlonym neonówką pokoiku siadam na krześle przy małym piecu. Obok mnie stoi zielona skrzyneczka, a na niej widnieje — osten-tacyjnie przewieszony — czerwony banknot. Mistrz Matuszak dłużej w nosie.

— No! Jazda, ludziska! — grzmi. Kilkuosobowa grupka ludzi rozbiera się błyskawicznie. Zniekształcone ciała chowają przed moimi spojrzeniami. Matuszak ogląda ich kolejno od tyłu.

Mały pokój szybko przesiąka potem. Mistrz uczy mnie, jak bandażuje się jego pacjentów bezpośrednio po leczeniu. Na moich kolanach

dzień



uzdrowiciela



którym do tego momentu wiedział tylko tyle, że jest z tyłu i często boli lub szpeci człowieka. Przetrwiała okupację, a teraz mu ją ukradli. Ale jest pamięć i nabyta umiejętność.

— A jak z kręgosłupem? — pyta niespodziewanie.

— Nie jest zły, ale się krzywi — odpowiadam.

— Wszystkim się teraz krzywi — mówi ze śmiechem: — To co, prostujemy?

Rozbieram się, skłonna upaść na kolana przed tym mitem, byle tylko nie zawiódł. Siadam tyłem do niego, na małym zydełku, drząc z zimna. Mój kręgosłup głucho trzeszczy, czuję ból i niepewność. Wszystko trwa kilka sekund. Edward Matuszak zapewnia, że wystarczą mi jeszcze tylko dwa przyjazdy do niego. Cud ma swój czas.

Matuszak wciska mi do ręki klucz. Tonem za mało protekcyjnym, bym czuła się wyróżniona, wskazuje drzwi do małego pokoiku naprze-

siada wąty, niski, garbaty chłopak w grubych kałesonach. Jego skóra, zakażona trądzikiem, różowi się pod wpływem zdenerwowania. Jest przejęty i zrezygnowany. Już teraz nawet palce Matuszaka niewiele mogą mu pomóc.

Mistrz mówi, że do tej pracy trzeba mieć silne ręce. Z wykrzywionymi kręgami nie można się bawić. Należy je miazdżyć fachowością dotyku, aż pokornie się wyprostują.

Mała dziewczynka z nienaturalnie skośnymi oczami krzyczy przejmująco. Brudny podkoszulek spada na krzywe biodro. Matuszak chwytą ją za ramiona. Jej ciało kuli się, drętwieje. Oczy patrzą w jeden punkt. Po wszystkim ojciec wciska do ręki Mistrza słodycze i kwiaty. Ten przyjmuje je gestem znużenia.

Stara kobieta rozbiera się długo. Do naga. Jej obwisłe piersi przyciągają spojrzenia. Bez skrupowania indaguje Matuszaka o swoje szanse. Nie irytują jej żarty innych, za to Mistrz jest zły. Wreszcie kobieta wychodzi.

Tęgi mężczyzna nie może podnieść ręki. Placze. Za ramię trzyma go żona. Pociesza. Matuszak, przy pomocy swego ucznia, podnosi kończynę do góry i — przy wtórce krzyku mężczyzny — porusza nią zwinnie. Placz przechodzi w nagłe zaskoczenie. Ból ustąpił. Mężczyzna siedzi zdumiony, ale już następni przepędzają go z krzesła.

Przejęty Murzyn zdejmując swój elegancki garnitur. Matuszak dowcipkuje z jego koloru skóry, ale egzotyczny kręgosłup prostuje również sprawnie. Obcokrajowiec uśmiecha się do mnie radośnie.

Do pokoju wnoszą na rękach bezwładne ciało. — Tyle nadziei, co nic — mówi z płaczem stara kobieta. Jej mąż sparaliżowało kilka lat temu. — Czy jeszcze coś z niego będzie? — pyta Matuszaka. Mistrz jest już zmęczony, a ten przypadek wywołuje w nim zwątpienie. Maca zgrubiałymi palcami kręgi, odrzuca rentgenowskie zdjęcia, nie czyta lekarskich diagnoz. Fachowo określa chore miejsca, bierze je w żelazny uścisk. Mężczyznę wynoszą na rękach. Wróci tu jeszcze, na pewno.

Końca kolejki po uzdrowienie nie widać. Teraz wnoszą niemowlaka, który krzyczy głośno. Jego rodzice są przerażeni faktem, że dzieciak ma jedną nóżkę krótszą. Matuszak klepie malucha po pupie i przewraca go na bok. Zręcznym ruchem wygina chorą nóżkę, następnie składa obie razem. Są równe. Rodzice nie dowierzają, ale to już Matuszaka nie obchodzi. Piąta godzina jego pracy non stop od siódmej rano. Pragnie przyjąć wszystkich. Mija sobota.

Młoda, wysoka dziewczyna nie może stanąć na nogę. Utyka. Matuszak chwytą kończynę, naciska kości. Ból i strach ustępują. Dziewczyna całuje Mistrza. — Teraz znajdź sobie chłopca, niech cię trochę pomasuje! — dowcipkuje Matuszak.

Wniesiona na plecach dziewczynka smutno przygląda się wszystkim. Ma ciężko chory dysk. — Chcą ją posłać na operację — informuje matka. — Jeśli tak, to nie do mnie — odpowiada Matuszak. — Albo chirurg, albo ja! — Matka ratunek widzi w jego palcach, ale będzie musiała tu jeszcze wiele razy przyjechać.

Bandażuję otyłą kobietę. Traktuje mnie jak fachowca i pyta, czy jestem lekarzem, który tu asystuje. Dzisiejszy dzień utwierdza mnie w przekonaniu, że się na medyka nie nadaje.

Przyglądam się oczom Matuszaka. Jest w nich coś z udręki życia i sztańskiejszej pomysłowości. Niecierpliwi pytają, kiedy Matuszak przyjedzie do innych miast. Jeździ, o ile mu na to pozwala czas, nawet po szpitalach. Są lekarze, którzy nieoficjalnie, ze wstydem i obawą, sami go o to proszą. Jeden z nich, profesor medycyny, traktował wizytę Matuszaka jak dobrą zabawę, lecz kiedy jedna z jego pacjentek przy nim odrzuciła kule i zaczęła chodzić o własnych siłach, popadł w ogromne wzburzenie.

Znajomy masażysta sceptycznie komentuje wszelkie zachwyty rolnikiem spod Konina. Twierdzi, że swoimi masażami czyni to samo, lecz efekty są tak samo krótkotrwałe, jak wyniki pracy rąk Mistrza. A jednak mój kręgosłup jest ładniejszy! Ułuda czy podstęp szarlatana?

Lekarze drwią z tych zachwytów Matuszakiem. Jednocześnie klną tę jego moc, która przekreśla wszelką ich akademicką mądrość. Daremnie odwołują się do rozsądku swoich pacjentów. Tam, gdzie jest ból i cierpienie, wędnie rozsądek, a górę biorą wiara i nadzieja. Ci z lekarzy, którzy podglądali Mistrza w pracy, twierdzą, że w dużym stopniu jest fachowcem, ale na pewno nie cudotwórcą.

Rolnik spod Konina lekceważy „lekarzowe mędrkowania”. Jego umiejętność przyniosła mu sławę, i tego faktu nikt już nie przekreśli. Wiosną przyszłego roku wyjeżdża do Anglii. O jego ręce zaczyna upominać się świat.

LUCYNA WĘGRZYN
Fot. ANDRZEJ MOS

sensacje





Jasienica jest podzielona. Kiedy tuż przed zakrętem na Andrzejewo skręcimy w lewo, wzdłuż plotu pana Siwka i pani Najgrodzkiej aż po linię topieli rozciąga się województwo łomżyńskie; za drogą. Przed — województwo ostrołęckie. Kłopot zaczyna się z drugą nitką linii granicznej, gdyż idzie wzdłuż szosy schodkami: raz po tej stronie mamy Ostrołękę, a Łomżę po tamtej, a za kilka metrów jest na odwrót. Po paru metrach czeka niespodzianka: wciąż, rzecz jasna, nie opuszczając Jasienicy — wkraczamy na teren nowej, trzeciej z kolei, gminy.

Pani Baranowska, na przykład, wyszła na tych podziałach tak, że pole ma w Ostrołęckiem, a stodołę w Łomżyńskim, czyli dokonuje po wielokroć niedozwolonej operacji wywozu płodów poza teren województwa. Tylko kiedy — zachodzi pytanie — popełnia wykroczenie: czy sadząc buraki za granicą, czy też szmuglując je przez szosę na własne podwórko?

★ ★ ★

Krótką historię Jasienicy można przedstawić tak. Od pradziejów była gminą i okoliczną stolicą (pierwsze wzmianki z 1410 r., pamiętnego) aż do roku 1973, który się także w historii odznaczył. Wtedy, po reformie administracyjnej, kiedy zlikwidowano powiat Ostrow Mazowiecki, do którego należała, pozostając wciąż w województwie warszawskim — została rozparcelowa-

w ziemie — czeka na wiosenne słońce. Kilka razy przyjeżdżały służby z obu województw, aby wbić tablice graniczne, ale okazywało się to zadaniem niewykonalnym, więc odjeżdżały. Równie nie powiodły się starania ufundowania przydrożnych pomników — wizytówek gmin, które zdobią cały kraj i wyznaczają granice. Tutaj — na przestrzeni kilkuset metrów — trzeba by je ustawić wielokrotnie i na przemian. W dodatku ci z góry nie do końca orientują się w podziałach granicznych, a i miejscowym już się poplątały.

— Piękna była ta nasza Jasienica — mówi pani Najgrodzka, jasienicka patriotka (chwilowo w Łomżyńskim). — Zasobna była, bogata, słynna na okolicę.

Teraz — pod rozbiórami.

★ ★ ★

Pod Ostrołękę trafiły: POM, czyli SKR (filia), szkoła zbiorcza (również filia), kościół (pojemny, murowany), piekarnia mechaniczna — super, ośrodek zdrowia, straż pożarna, klub, poczta, przedszkole oraz bank, sklep spożywczy i zlewnia.

Pod Łomżę popadły: GS (magazyny — węgiel, nawozy, skup), sklep spożywczy, tekstylny i żelazny oraz bar, mieszalnia pasz, punkt skupu (żywiec, buraki, ziemniaki).

Pod Ostrołęką znalazło się ponad sto gospodarstw, pod Łomżą — ze czterdzieści, i to w dwóch gminach. Wszędzie takie same topole i pasecz-

zmeliowania, gdyż woda, która z nich spływa, jest mianowicie łomżyńska i do łomżyńskiej płynie rzeki, więc podpada pod kompetencje zagraniczne. Dla odmiany jasienicy łomżanie, którzy przez pół życia dojeżdżali do pracy do Ostrowi, przyszedli w łaskę do ostrołęczan po melunek w dowodzie, żeby ich, jako już cudzoziemców, z roboty nie wywalili. I pan Morawski, soltys, podczas wyborów nie mógł się nadszwić, że tyle obcego narodu zgłosiło się do urny spełnić swój obowiązek.

W sumie pojedynek Łomża — Ostrołęka wychodzi na remis oraz daleki jest od zakończenia. Ostatnio oba województwa podstemplowały swoje kartki, więc przez środek Jasienicy przebiega jeszcze jedna granica: reglamentacyjna. W tej dziedzinie wojewoda łomżyński był dużo szlachetniejszy, bo przydzielił po litrze na głowę i na specjalne kartki, a konkurent tylko po połowie.

Jedynie Pan Bóg patrzy na te wszystkie przyziemności z góry i tylko dla Niego wszystkie owieczki jednakowo urodzone.

★ ★ ★

Jeśli chodzi o bezpośrednich sprawców powyższego zamieszania, każdy umywa ręce. Sprawcą było to potworne zło, które siedziało w Centrali; ono to paraliżowało maluczkich na dole.

Jasienica ma dwie wersje rozbiór; choć podawane w konfidencji, są powszechnie znane i kolportowane, a podobne do siebie o tyle, że obie oparte o teorię spisku. Ma ona tę zaletę, że najprościej, logicznie i zrozumiale tłumaczy oraz interpretuje bieg dziejów. Jest o tyle przystępniejsza, że — jako siły sprawczej — nie uwzględnia czystej ludzkiej głupoty. Bo rzeczywistość to nie do uwierzenia, że taki idiotyzm można po prostu wymyśleć.

Według pierwszej wersji było tak, że po to, aby mogła powstać sąsiednia gmina Zaręby, musiała pójść pod noż Jasienica. A naczelnik Zaręb — Panie świeć nad jego duszą — miał swojego człowieka w KC i z nim wszystko załatwił. Kolegi — wszakże — nie ma już w KC i nie chcą tam podać jego adresu; było, przepadło, ślepy trop.

Druga wersja za zdracę uznaje jasienickiego szefa Gromadzkiej Rady Narodowej, który za stołek naczelnika w Andrzejewie podpisał wyrok na starą gminę. I jemu się nie poszczęściło — wkrótce stracił stołek i Andrzejewo.

Kiedy już autobus, wyleciawszy w powietrze na wyrwie pod ośrodkiem zdrowia, spadnie na ziemię, można podziwiać resztki miejscowej zdeklasowanej przeszłości: dom kultury, szkołę i w ogóle. Są jak cokol, który pozostał po pomniku.

— Jak tę ostatnią koszulinę rozdrapali — komentuje miejscową sytuację pani Najgrodzka.

Mam i trzecią, tym razem własną, wersję wypadków: otóż Jasienica została po prostu ukarana za chytrość. W roku 1958 część wsi, aby się wymigać od uciążliwych nocnych wart oraz dostarczania podwodów, utworzyła odrębne sołectwo — Jasienicę Parcelę, jednostkę czysto fikcyjną i w terenie nie oznakowaną. Tamten podział posłużył za podstawę podziałów późniejszych. Morał stąd można wyciągnąć taki: nie twórzmy nigdy bytów pozornych, gdyż mogą być wykorzystane przeciwko nam.

★ ★ ★

Jasienica stała na rzeź nie przeczuwając niczego — z uśmiechem na ustach.

— Zostaliśmy uśpieni — wspomina pan Siwek (z ZSL-u). — Uśpienie polegało na tym, że do samego końca wszyscy byli przekonani, iż gmina pozostanie gminą (tylko podobno przewodniczący znał wcześniej wyrok, ale już rachował srebrniki). Panią Młynarczyk z banku nawet dokształcono już na gminnego sekretarza partii, tak daleko sprawy były zaklepane. I wszystko diabli wzięli. Decyzja spadła jak grom z jasnego nieba, czyli, jak byśmy to teraz powiedzieli, nie była konsultowana oraz — pewnie znów za sprawą ówego potwornego zła, które zlało z Centrali i knębiowało usta — nie podlegała żadnym interpelacjom.

Jeden z nauczycieli opowiada, że na tamtych spotkaniach z władzami potraktowano ich jak ostatnich gów-

niarzy. Aż język świerzbiał, żeby coś powiedzieć, ale nie były to czasy dla puskatych. Pewnie by z pracy wyrzucili.

Pierwsze trzy lata po parcelacji minęły znośnie, dopiero później, za Polski nowowojewódzkiej, sytuacja dała popalić. Po usilnych staraniach udało się załatwić to, że miejscowi łomżanie, którzy, jak cała wieś, wybudowali w czynie przychodnie, mogli z niej korzystać. Porozumienie wysokich układających się stron sprawiło, że oba województwa mogły brać pieniądze z tego samego banku. (Stało się tak również dlatego, że oba nie wprowadziły odrębnych jednostek monetarnych, póki co, bo przyszłość jeszcze przed nami). Również straż pożarna, ostrołęcka, otrzymała przywilej zapuszczania się na tereny łomżyńskie, czyli za szosę, ale to już na własną odpowiedzialność.

Tak, trzeba powiedzieć, że wiele spraw można było załatwić polubownie, gdyby nie wygórowane ambicje Jasienicy, jej inklinacje rozrabiackie i inne przykre cechy, które ją się podciągają pod nasze



na między trzy jednostki gminne: Ostrow, Andrzejewo oraz Zaręby Kościelne, zaś granica przebiegała, jak wspomnieliśmy, przez sam środek. W trzy lata później, kiedy dokonano reformy, pierwszą z gmin przydzielono do jednego województwa, dwie pozostałe — do innego.

— Rozszabrowano nas — mówi pan Siwek, działacz ZSL-u (chwilowo w Łomżyńskim).

Można było mniemać, że owe granice są czymś umownym i pozostającym tylko na papierze. Stało się wszakże inaczej — te linijki, które ktoś postawił na mapie, zaczęły rzeczywistość dzielić. Stało się tak również dlatego — co trzeba koniecznie dodać — iż także Polska, nie tylko Jasienica, została wówczas podzielona i podział ten trwa do dzisiaj, a może właśnie dzisiaj święci swój szczególny rozwój.

Kiedy już autobus wyleci w powietrze przed ośrodkiem zdrowia i opadnie koło domu kultury, to znak, że można wysiadać. W miarę oddalania się od Ostrowi, stolicy gminy, asfalt przechodzi w kocię łby.

Obowiązuje u nas prawidłowość, że pański wzrok oraz dostatek rozchodzą się ze stolicy promieniście, więc na kresy docierają już mocno osłabione i w ilościach szczątkowych. Reguły te dotyczą wszystkich szczebli: centralnego, wojewódzkiego oraz gminnego. Uwzględniając powyższe — Jasienica znalazła się na potrójnych kresach, także więc i łaski rozrzędziły się do minus trzeciej potęgi.

Dalej droga, nie opuszczając wsi, przechodzi w odcinek eksterytorialny, czyli niczyj i oprócz tego, że jest wyboisty, nie oczyszcza się go

ki pół, nudny równinny krajobraz. Jak deszcz spadnie, nie wybiera, sprawiedliwie kropi tu i tu. A poza tym — wszystko jest od siebie oddzielone, bo tak musi być. Wszak granica.

★ ★ ★

Kiedy bank (Ostrołęckie) chce zadzwonić na drugą stronę szosy (w Łomżyńskie), odbywa się to via Andrzejewo, stolicę gminy łomżyńskiej, dla porządku. Dla rewanżu poczta w Jasienicy (Ostrołęckie) nie przyjmuje od łomżan opłat za telewizor ani prenumeraty gazet, nie mówiąc, rzecz jasna, o doręczaniu listów. Wara też łomżanom od ostrołęckiego ośrodka zdrowia, szkoły, kółka maszynowego (za granicą są inne ceny) itd. Łomża, z kolei, odplaca sąsiadom, czym może, to znaczy, GS-owska pompa ssąco-tłocząca działa dla zagraniczników tylko w jedną stronę: asie. I z otwartymi rękami kupi wszystko, co przywieją, aby zasilić własne statystyki, natomiast pagze i węgiel — to już nie my. Proszę bardzo do Ostrowi.

Chłopci z Króli — tuż za miedzą — udając się do lekarza, idą na przystanek do Jasienicy, a przystanek jest tuż koło ośrodka zdrowia, po czym jadą pakaesem do Andrzejewa, bo tam rejon. Kiedy nie mogą dotrzeć na własnych nogach, szpital mają w Wysokiem Mazowieckim (50 kilometrów), bo ten w Ostrowi jest ostrołęcki, czyli wraży. Za to kilkanaście hektarów jasienickich pól nie doczeka się pewnie



wady narodowe, odziedziczone po przodkach (sejmiki, prywaty itp.). W dodatku każdy następny krok przynosił jasieniczantom więcej zła niż pożytku, co powinno podzielać ku przestrodze. Pierwsze iskrzenie nastąpiło na odcinku gminnym: Ostrow — Andrzejewo, i niczego widać nie nauczyło, skoro konflikt dotarł do województw, czyli — strasznie wysoko. Jasienica grała w banque i uparła się wypełnić pustą cokol gminny. Na tak wysokim, wojewódzkim, szczeblu ambicje nabierały odpowiednich wymiarów i dawały sobie znać — zwłaszcza gdy nadzarpnięte. A tak właśnie się stało.

Żadna nauka nie poskutkowała i miejscowi, pod wodzą pana Noszarzewskiego, lekarza, który zna Warszawę, udali się tamże do Ministerstwa Administracji itp. oraz — drogą korespondencyjną — do towarzysza Gierka. (Okazuje się, że każdy statystyczny obywatel chociaż raz w minionym okresie zwierzał się korespondencyjnie. Przywódcy ze swoich trosk). W liście tym napisali, że owszem, ogólnie rzecz biorąc, reforma administracji jest bardzo

dana i wyszła im na plus, ale mi-
ała już odpowiedni czas, żeby do-
onać drobnych korekt. Odpowiedzi
nie otrzymali (tak jak każdy staty-
czny Polak, który postąpił podob-
nie).

Skutki, jakie przyniosło to war-
holstwo, można przedstawić na
przykładzie banku (Ostrołęckie),
który — na mocy porozumienia —
obsługiwał również zagranicę. Zo-
stało ono jednostronnie zerwane
przez naczelnika z Andrzejewą, któ-
ry nie życzył sobie obcych jedno-
tek na swoim terenie, również z
powodów statystycznych: te obce
usze i pieniądze wprowadzały ba-
gany w podliczenia. Rolnicy za-
protestowali i zbankotowali powyż-
sze decyzje (taki bank jest insty-
tucją teoretycznie samorządną). Za-
re — jak opowiada personel —
bank zaczął być karany zamroze-
niem kredytów, brakiem awansów,
nagród itp. Wreszcie odebrano mu
kompetencje i uczyniono filią. Iden-
tyczną filię utworzono po drugiej
stronie zosy.

Co cwańsi rolnicy zaczęli grać na
dwa fronty i zadłużać się w obu,

spisku. Miał on, ich zdaniem, pole-
gać na wyrugowaniu chłopów z zie-
mi: bez wielkiego szumu, bez ustaw
i zarządzeń, samymi warunkami nie
do wytrzymania i bez przyszłości.
Po pierwsze — podzielił deficyt
dóbr. Ktoś dostał, ktoś odszedł z
kwitkiem. Jeden — ten zasobniej-
szy albo obrotowy, co nabrał kredy-
tów — ostro szedł do przodu; ten z
końca jeszcze bardziej pozostawał w
tyle.

Rolnictwo indywidualne — jak
każdy prywatny interes — polega
na ciągnięciu koldry w swoją stro-
nę; ażeby żyć, przeżyć nakarmić,
pić — wszystkie chwytły są dozwol-
one. Najprostszy chwyt, jaki przy-
chodzi do głowy, to posiadanie wsze-
dzie swoich ludzi. Nadto inną mia-
rą trzeba traktować kogoś — u-
rzednika, nauczyciela, władzę, niech
tą najlichszą, a inną — nikogo.
Ten bogatszy zawsze ma przewagę
argumentów pozaformalnych nad
biedniakiem. Wystarczy jeszcze do
tego skupić całość władzy, a zwięsz-
cza dzielenie dóbr deficytowych, w
jednej ręce, aby wszyscy ze wszy-
stkimi darli koty. Stało się to i dla-
tego, że tutaj ludzie dużo wcześniej
przestali się szanować niż ci w
mieście; w tym traktowaniu stwo-
rzył się układ zamknięty: raz ty
mi petentem (czyli: jak gównu na
gumiaku), jutro zamienimy się ro-
lami. Tak dopełniło się koło upod-
lenia. Do tego dodajmy koniecznie
tzw. ogólny kontekst, czyli trzydzie-
stoparoletnią gospodarkę rabunko-
wą wsi — z sił, z jakości życia, z
kultury...

Jeśli wziąć chłopą w kontekście
ogólnospołecznym — rozbiciu uległy
dawne więzy wioskowe, poczucie
wspólnoty i solidarności. Jeżeli cho-
dzi o chłopą jako takiego, jednostkę,
zawód, to jego bieżącą sytuację moż-
na określić jednym słowem: niepew-
ność. Na tę niepewność pracowano
przez lata; do niej, dopiero jako do-
datek, dochodzi niepewność bieżą-
ca, ta z gazet, z plotek, notowań na
targu.

Co znamienne, surrealistyczna sy-
tuacja Jasienicy jako gminy odpo-
wiada swoim klimatem sytuacjom
jednostkowym jej mieszkańców. To
znaczy: są one równie surrealistycz-
ne. I jeśli naślakoniczniej odpowie-
dzieć na pytanie, dlaczego brakuje
chleba, to właśnie tak, że surrealizm
produkuje chleb z papier mache;
niaby taki sam, tak samo wygląda,
ale jest nie do ugryzienia.

Pan Morawski, sołtys (Ostrołę-
ckie), patrzy na podwórko przez pe-
largonie. — Taki chłop jest sobie i
dyrektorem, i parobkiem, i pastu-
chem — mówi. W ramach tej jed-
noosobowej odpowiedzialności mu-
si sam odpowiedzieć na pytanie, ile
świń jutro odstawić na spęd, to
znaczy, ile zostawić. Wychodzi na
to, że zostawi niewiele.

Tematem pana Morawskiego są
pasze (— Niech sobie zabiorą pie-
niądze), a konkretnie: dwie i pół
tony mieszanek; gdyby je dali, wte-
dy można żyć. Mieszanek, a nie pas-
kudztwa, które świnie demoralizuje,
je, że stoi w miejscu i z wagą ani
w tę, ani w tą. (Już wiadomo, że
paszy nie będzie). Innym tematem
pana Morawskiego są maszyny.
Wszyscy mówią o maszynach. (—
Niech sobie zabiorą kartki!). O ma-
szynach można mówić w kontekście
ogólnym oraz na przykładach — ka-
lamitki, dajmy na to, z plastiku,
który się grzeje, oraz widel, które
się gna i nie wchodzi w obornik.

Pan Siwek (z ZSL-u) ma z okna
widok na Ostrołęckie. On podzu-
ciłby temat ogólniejszy: ten ostatni
rok, z zielonym światłem, przyniósł
z miesiąca na miesiąc same pogor-
szenia; jeżeli nic się nie ruszy z czę-
ściami i na odcinku głupiego gwoź-
dza, całość rozkraczy się najdalej
za pół roku. Zachodzi również takie
niebezpieczeństwo, że tegoroczne
dobre plony mogą nie uspić, jak już
nie raz bywało. (Już wiadomo, że
maszyn nie będzie).

Pani Najgrodzka widzi temat zło-
dziejstwa i spekulacji; jeszcze tak
nie bywało, żeby z podwórek ginęły
konie oraz akumulatory z ciagnik-
ów. Tutaj miejskie obyczaje spe-
kulacyjne nabierają charakteru pół-
legalnego. Efektem jej dociekań i
interwencji było przekonanie, że nie
ma sprawiedliwości na świecie, a
wszystko to jedna wielka sitwa. Kie-
dy ktoś z kolejki zadzwonił z in-
terwencją, brygada z GS-u tylko
sprawdziła na pocście, kto zamawiał
rozmowę, a sklepowy dał mu wy-
cisk.

Sołą w oku postępowych kobiet
z Jasienicy jest bar bez nazwy
(Łomżyńskie), który — z racji pana
Baranka, agenta — nazywany jest
„Pod Rogami”; prowadzi on wy-
szynk lewego alkoholu, jak utrzy-
muje pani Najgrodzka, a ona wszy-
stko wie, oraz sprzedaż obwoźną za
dolar. Tutaj rodzi się temat pie-
niądza. Pani Miynarczyk z banko-
wości ma takie spostrzeżenia, że —
po pierwsze — chłopci trzymają go-
tówkę w pończosze, a po drugie —
na pewno ją mają, gdyż na przed-
płaty samochodowe Jasienica wyda-
ła 21 milionów, zaś za samo mleko
pobiera 3 miliony.

Pani Zach, klubowa, na ogólnym
tle życia kulturalnego poruszyłaby
temat czytelnictwa gazet. Za cały
komentarz wystarczy przedstawić
tzw. nadział: „Panorama Śląska” —
4 egz., „Razem”, „Gospodyni”, „Ty-
godnik Katolicki”, „Gość”, „Słowo
Powszechne” — 1 egz., „Kobieta i
Życie”, „Radar” — 2 egz., „Nowa
Wieś” — 3 egz.

W kontekście działalności społecz-
nej można zgłosić taki temat, że lu-
dzie się tu do niej garną. — Po
pierwsze: trzeba by zrobić zebranie
— wylicza pan Morawski, sołtys —
a ludzie mają już dosyć zebrani; po
drugie: buraki w polu.

Rada sołecka czeka do zimy, ZSL,
ZSMP i inne skrótołce — również.
Trzeba wszakże przyznać, że tempe-
ratura życia politycznego w Łom-
żyńskim góruje nad ostrołęcką.

Jasienicy będzie gmina! Już był
pan wojewoda (ostrołęcki, on przy-
łącza do siebie, więc mu łatwiej
podjąć decyzję) wraz z panem po-
słem Rokoszewskim i patrzą na ten
temat jak najbardziej optymistycz-
nie. W przypadku pana Rokoszew-
skiego możliwe jest widać oddziele-
nie sumienia towarzysza od sumie-
nia posła, gdyż jako szef Wydziału
Prasy pilnował, aby przez lata he-
rezje o zmianie granic nie trafiały
do gazet, a teraz dusza posła z miej-
scowego terenu powiedziała mu: tak,
zmieniajcie.

Przyszłość będzie taka: nadejdzie
święto i zabije się świnia. W dal-
szej kolejności załata dziurę przed
ośrodkiem zdrowia, co tam — da się
asfalt. A później powrócimy do te-
matów bieżących.

Pani Najgrodzka miałaby wtedy
taki pogłębiony temat: życie. Jej —
było ciężkie. Ojca i rodzinę znisz-
czyła pierwsza wojna, kiedy służył
pod carem, a matka z córkami u-
ciekła w głąb Rosji. Męża zniszczy-
ła druga wojna. Jeszcze wcześniej
tatuś, który był wiejskim ślusar-
zem, z warsztatu kupił gospodar-
stwo i zapracował na posag. Gos-
podarkę spłacało się do 1949 r., gdyż
odnalazły się papiery. Jeszcze wcześ-
niej mąż poszedł pod generała Kle-
berga i został internowany przez
Armię Czerwoną. Później — w ra-
mach wymiany trafił do bauera na



Łomża nie zapłaciła trzeciej raty
podatku. W Ostrołęckim natomiast,
proszę bardzo, zapłaciło sto procent,
nawet ci najbardziej oporni.

Tak to dziwnie jest: niby piękne
buraki, a w skupie kłopoty są i in-
formacje, że eksplodowały kotły w
cukrowni, więc w sprawie bura-
ków należy postawić znak zapyta-
nia.

Niby zboże niespodziewane, a na
targu tyto liczy się po 2800, zaś
pszenica po 3500. Dlatego koty w
Jasienicy chodzą thuste, bo myszy
dużo. A cena — z kolei — jest ta-
ka, bo każdy trzyma zboże w stogu
i nie wysypuje na rynek, inaczej by
spadła. Mimo że chłop — ma czym
karmić, zwija hodowlę, bo liczy zbo-
że po cenach targowych i z tych ra-
chunków wychodzi mu, że się świni
nie kalkuluje. (Również dlatego
zwija hodowlę, że nie dostanie
węgla ani mieszanek, ale to inna
sprawa).

Chłop zachowuje się jak miesz-
czuch: rzuca kisiel albo sodę oczysz-
czoną — będzie stał w kolejce cały
dzień, aż kupi. A w polu samo roś-
nie. Tę pola — niczego sobie: śred-
nio ponad 10 hektarów na gospo-
darstwo; budynki murowane, ma-
szyn nie brakuje, pieniądź też jest.
Więc skoro jest tak dobrze, dla-
czego jest tak źle? Czy bida, czy u-
rodzaj, tak samo plaskiem w oczy
sypie.

Jeśli chodzi o wiadomości z ostat-
niej chwili, to jedna jest szczegó-
lnie radosna i długo oczekiwana: w

Bawarii. Stamtąd przeniósł się do
Dachau za podkop, a po wyzwoleniu
służył w amerykańskiej służbie war-
towniczej. Wrócił nie ten. Obaj sy-
nowie w mieście, poważani, na sta-
nowiskach, tyle że poniewierają się
po wynajmowanych mieszkaniach.
Parę lat temu odsprzedali 7 hekta-
rów, wzięli 200 tysięcy.

— Teraz niecałe trzy krowy —
mówi. — Te pieniądze miały być
dla synów, kiedy się usamodzielnia.
Ale kiedy to będzie?

I o czym tu marzyć?

Teraz pani Najgrodzkiej brzmi: tak
ciężko doświadczony naród powin-
ien siebie szanować, człowiek czło-
wieka. A nie szanuje. — Tak mało
teraz w ludziach ludzkości — mówi
pani Najgrodzka, która powinna
zapisywać swoje myśli. — Odcia-
gnęli młodych od Boga, od rodziców.
Strasznie się to wszystko rozbestwi-
ło.

Perypetie Jasienicy można osa-
dzić w kontekście historycznym. W
1939 r. biegła tedy granica. Najpierw
byli Rosjanie, później Niemcy i jesz-
cze raz Rosjanie, z naszym woj-
skiem. Parę kilometrów obok biegła
granica zaborowa. Kilkanaście kilo-
metrów dalej — dawna granica
Polski i Litwy. Z tej perspektywy
mniej emocjonalnie patrzy się na
teraźniejszość.

Tekst nagrodzony w konkursie „Boryna
81”, zorganizowanym przez „Kontakty”
i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, a
rozstrzygniętym w listopadzie 1981 r.



Zagadnienie odzyskania wiarygodności przez partię zostało już szczegółowo rozpracowane i doprawdy nie wiem, czy to, co mam do powiedzenia, nie będzie wyważaniem otwartych drzwi. Potrzebę pisaną na powyższy temat dyktuje mi jednak fakt przynależności do partii i praca w etatowym aparacie partyjnym. Mam więc spojrzenie od wewnątrz, które — jak uczę doświadczenie — jest zazwyczaj inne niż te z boku.

W dyskusjach, jakie toczyły się i nadal trwają, podkreśla się konieczność rozliczania się partii z przeszłością, z praktyką lat siedemdziesiątych, a szczególnie — z realizatorami tej praktyki. Podzielał ten pogląd. Tkwiąc wewnątrz struktury partyjnej od pamiętnego podziału administracyjnego kraju w 1975 r. miałem możliwość nie tylko zaobserwowania, lecz i uczestniczenia w realizacji hasła budowy „drugiej Polski”. Z powodu owego uczestnictwa czuję się sfrustrowany — to, co robiłem w dobrej wierze, okazało się niedobre i doprowadziło do głębokiego kryzysu we wszystkich dziedzinach: polityce, ekonomice i życiu społecznym kraju. Pracując w aparacie widziałem, jak szczytne hasła dekady „dynamicznego rozwoju” — w zderzeniu z rzeczywistością — okazywały się pustostawami bądź pobożnym życzeniem. Widziałem też, jak niektórzy ludzie potrafili wykorzystywać ówczesną sytuację do prywatnych celów. Obserwowałem nadużywanie stanowisk, despotyzm wobec podwładnych i cyniczną, koniunkturalną uniżoność wobec przełożonych; zanik zasad moralnych, zobojętnienie na los innych ludzi i bezideowość: lekceważenie instancji wybieralnych, manipulacje i machinacje wyborcze; instrumentalne, przedmiotowe traktowanie członków partii i społeczeństwa. Nieraz denerwowało mnie, że moi koledzy wykorzystywali służbowe samochody do prywatnych celów bądź wybierali się w teren, aby „coś załatwić”.

Likwidacja zła moralnego, które partii i społeczeństwu wyrządziła dekada 1971—1980, ukaranie winnych

zamiary według SII

wypaczeń i nadużyć, to warunek sine qua non odzyskania przez partię wiarygodności.

Wątek osobistej odpowiedzialności konkretnych ludzi, i to nie tylko tych na najwyższych stanowiskach, lecz także średnich i najniższych, przewijał się czerwoną nicią przez wszelkie rozważania dotyczące odnowy naszego życia społeczno-politycznego. Nie mogę zgodzić się z poglądem, iż podkreślanie czynnika osobowego w deformacjach minionego okresu jest błędem, gdyż jakoby nie ludzie są winni, lecz system. Zwalanie wszystkiego na system i rozgrzeszanie ludzi, którzy określony system wypełniali treścią, jest — mówiąc delikatnie — nieporozumieniem. Bo wiem — co podkreślił już Marks — nie tylko warunki społeczne okre-

lają ludzi (ich świadomość), lecz i ludzie wpływają na zmianę tych warunków. Przecież to nie fakt społecznej własności środków produkcji wymuszał na piasztujących kierownicze stanowiska w hierarchii społecznej zachowania apolityczne, lecz odwrotnie: ludzie ci swymi działaniami doprowadzili do wypaczenia zasad socjalizmu, uwarunkowanych społeczną formą własności środków produkcji.

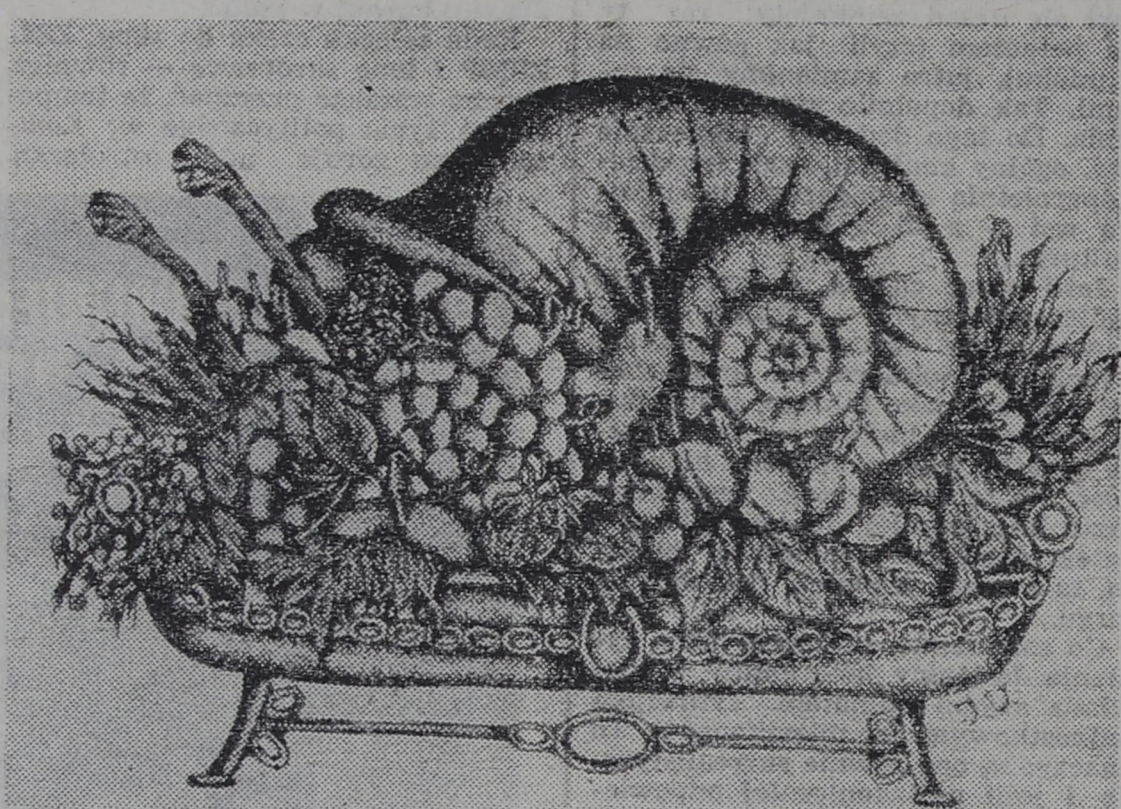
Konkludując: jakkolwiek nie zaprzeczam, iż określony system (a w szczególności panujący w latach 1971—80) sprzyjał ujawnieniu się podstaw społecznych, to jednak jestem przekonany, że to ludzie odpowiadają za jego realizację. Zatem rozliczenie tych wszystkich, którzy swoimi działaniami (świadomie czy nieświadomie) doprowadzili do odejścia od zasad socjalizmu w latach 1971—80, jest wstępem do starania o odzyskanie autorytetu przez partię w społeczeństwie.

Kolejnym tego warunkiem jest stworzenie takiego programu działania, który byłby uznany za własny nie tylko przez członków partii, lecz

i pozostałych obywateli Polski. Idea staje się siłą materialną, gdy opanuje masy — mówił Marks — a potwierdziła to dotychczasowa historia ruchu robotniczego. Zdaję sobie sprawę, że ludzie kilkakrotnie rozczarowani do efektów poprzednich wizji programowych, niełatwo dadzą się przekonać. Dlatego też konieczny jest wielki wysiłek teoretyczny, uogólnienie naszego dorobku — plusów i minusów — i zaproponowanie społeczeństwu nie demagogicznych obietnic, lecz rzetelnego, konkretnego planu działań, które pozwoliłyby życie w sferze materialnej i duchowej. Ambitne cele tego dokumentu muszą harmonizować z realnymi możliwościami. Niech to będzie raczej praca u podstaw, lecz z dużym prawdopodobieństwem realizacji, niż porywający, acz utopijny romantyzm. Z psychologicznego punktu widzenia — lepiej będzie, jeśli po kilku latach realizacji tego programu dokonana zostanie korekta — w górę, bowiem to dodatkowy atut, bodziec. Rozsądny wydaje mi się powrót do programu partii uchwalonego na IX Nadzwyczajnym Zjeździe i dostosowanie go do dzisiejszych realiów: stanu wojennego oraz agresji ekonomicznej i propagandowej imperializmu światowego.

Pod dyskusję wszystkim organizacjom partyjnym Komitet Centralny PZPR przedłożył projekt deklaracji ideowo-politycznej „O co walczymy dokąd zmierzamy”. O ile zostanie on potraktowany poważnie, będzie rzetelnej dyskusji, może stać się dla partii wytyczną działania, a dla społeczeństwa — zrozumiałą artykulacją zamierzeń PZPR w dziele wychodzenia z kryzysu.

JAN LUKASIK



co nam zostało z tych lat

Gdy rok temu wprowadzano kartki na mięso, lament srogi niósł się po chałupach, że Świąt Wielkanocnych nie sposób będzie uczcić. W tym roku mamy limity prawie na wszystkie podstawowe artykuły, a przydziały na mięso mniejsze, lecz nie słyhać, aby głośno wołano o dodatkowe. Okazuje się, że udało się posegregować nasze żołądki, przyzwyczaić organizmy do norm i reżimów. Jest to tym dziwniejsze, że Polacy nigdy przedtem cnotą umiarkowania w jedzeniu i picu chlubić się nie mogli. Literatura, prawie fachowa, nie pozostawia w tym względzie cienia wątpliwości:

„August III lubił gąski, pulardy i łanie, lecz nie gardził również i udżem baraniem. Królowa Bona sprowadziła zasię włoszczyznę, którą szlachta ogień wódki gasi. Na wety przeto dają w wesela i chrzciny salsefiej, kalafioru, insze leguminy. Dobry król Leszczyński jadł zawsze za dwoje, tak że z trudem się mieścił w królewskie pokoje. Sam przyrządzał dania: zupę cebulową, podawał do niej rosół, czarny chleb razowy, galikę muszkatołową i masła funt cały, jako że margaryny biedaki nie znali” (Magdalena Samozwaniec)

Gastronomiczne zainteresowania nie były wyłącznie królewskim przywilejem. Gdy Mikołaj Rej pisze pieśń o „chlebie nadobnym, o jarzynkach pięknie przyprawionych, krupeczkach bieluchnych a drobiutko usianych, o kureczkach tłuszciniuchnych, podanych na obrusku białym”, czujemy, że delikatność języka idzie w parze z kulinarnym rozbudowaniem.

Jadło się sporo, choć codzienne potrawy nie były wyszukane: kapusta kwaśna z wędzoną słoniną, kłuski z serem, kasza jęczmienna, la-

zanki gryczane, a na deser — ser, śmietana, cukry, owoce i groch rozarty ze słoniną, który był lako- cią wielce cenioną.

Bankiety i biesiady nadzwyczaj uświetniano i wydawano z okazji różnych świąt lub wizyt sąsiedzkich. I chociaż powiadano, że gość nie w porę gorszy od Tatarzyna, a „zabić kto wymyślił być gospodarzem w domu, lepiej zawsze gościem!” — historycznie rzecz oceniając — zwyciężyły maksymy: „Gość w dom, Bóg w dom” oraz „Zastaw się, a postaw się”.

Nasze doświadczenie sięga zaledwie smaku wieprzowiny, cielęciny, wołowiny, baraniny i pospolitego drobiu, a jeszcze trzysta lat temu na polskich stołach serwowano żubra, tura, bawołu i takie delikatesy, jak niedźwiedzie łapy, bobrowe ogony i chrapy łosie. Wszystkie potrawy pływały w zawieszistych, różnokolorowych sosach, zwanych juchami. Sos szary robiono z tartej cebuli, żółty — z szafranu, czerwony — z wiśniowego soku, czarny — z powideł.

Szesnastowieczne weselne menu w trzech „dawaniach” wyglądało z grubsza następująco: na pierwsze — kapłony w caiku, pawie pieczone z saporom, połówce jelenie, ciasto formiane; na drugie — zwierzyzna słona, potrzęsiona cukrem mialkim i migdałami, baranki angielskie w czarnej jusze, pasztety, czosnek, kapłon do małmazji; na trzecie — kapłon z zieloną juchą cukrową, raki z masłem i pieprzem, ciasto i saporu.

Na godach weselnych w Łańcucie, po ślubie Konstancji Lubomirskiej z Felicjanem Potockim, zjedzono 60 wołów, 300 cieląt, 50 baranów, 150 świń, 21 000 sztuk drobiu, 12 740 ryb, 10 korców raków; wypito 270 beczek węgryna, 6 ład włoskiego wina, a polskiego miodu nikt nawet nie liczył.

Zużywano również wielkie ilości przypraw i korzeni: sypano je obficie do sosów, pieczeni, zup i deserów. O niektórych gospodyniach złośliwie powiadano, iż więcej ku-

pują w aptecce niż w jatce. Pieprz, goździki, imbir, szafran, cynamon, muszkatel — bardziej były potrzebne niż cukier, wówczas niezwykle drogi. Powiadano nawet: „Król wielki pan, a tyżkami cukru nie jada”. Sprowadzano go przez Kanadę z Wysp Kanaryjskich, stąd jego nazwa: „kanar”. Służył przede wszystkim do dekoracji i modnego maskowania potraw, jak zaświadcza Wespazjan Kochowski:

„Z kanaru, co go przysłał
Hamburg niebłiski,
mrozem bielą się półmiski.
Po wierchu mis spadają cukrowe
grady,

a chłopięta temu rady.
Patrz jak na komedję: wlaż
kapłon w flaszę,
skąd go, stłukisz ją, wystraszę.
Tu bażant, choć zabity, swe
rozpościera
skrzydła i na nich umiera.
Z serwet wokoło baszty, lecz gęste
wieże
padną, że nikt nie postrzeże”.

Padali też biesiadnicy: pod stół z opilstwa, w przyjacielskie ramiona — w przypływie uczuć, od ostrej szabl w nagłej zwadzie. Spili się skutecznie, choć toasty zaczęli zwykle w połowie bankietu, kiedy już dobrze podjedli. Przed każdym gościem stała flaszka wina, ale kielich, a raczej puchar, był jeden i przechodził z rąk do rąk, a każdy nalewał sobie wedle możliwości i ochoty. Panie jedynie muskały ustami brzeg pucharu; jeść mogły za to do woli. W towarzystwie nie odgrywały jednak znaczącej roli, a nawet chętnie rezygnowano z damskiej kompanii.

Zbyt tłumnych biesiad nie lubiono, hołdując zasadzie: „w dużej kupie się bić, a w malej jeść”. Powiadano również: „siedem — biesiada, dziewięć — zwada”, a trafności spostrzeżenia dowodzono nader często. Tłukła się nie tylko popołita szlachta, lecz i wojewodowie. Jan Kochanowski jeden z obrazków bankietu kończy malowniczym opisem zajścia:

„Kufle lecają jako grad, a drugi
już jęczy.

Wziął konwiew, aż mu na łbie
zostały obryczy.
Potem do arkabuzów — a więc
to biesiada?

Jeśliście tak weseli, jakaż u was
zwada?”

Mimo skłonności do pieniaństwa Polacy potrafili zachować się bardzo kulturalnie. Podczas gdy Ludwik XIV jadł jeszcze palcami, w Polsce, za włoskim przykładem, każdy wykwinął szlachcic zabierał z sobą w gości łyżkę, nóż i grabki, czyli widelec. Łyżek używano już dużo wcześniej i noszono je za pasem, a sztucce — w specjalnym futeralesie.

Tradycja dobrej kuchni — z przyczyn obiektywnych — została obecna na jakiś czas przerwana. Pewne zwyczaje można jednak kontynuować. Absolutnie nie należy rezygnować z wielkanocnych jaj. Przestrzegam jednak przed ich podkradaniem kurom lub gospodyniom, bo za jedno ukradzione jajo narażamy się na siedem lat nieszczęść.

Zwyczaj wielkanocny bardzo honoruje również gryzonia naszych pól i lasów — zająca. W sklepach pojawia się niezwykle rzadko, ale warto by na niego zapolować jakimś legalnym i niebanalnym sposobem. Zajęcie mięso bardzo wysoko cenili starożytni Rzymianie i Grecy, ufając, iż spożywanie go wpływa korzystnie na urodę, a pobudzająco — na temperament, ponieważ jest to zwierzę bardzo płodne. Papież Zachariasz obarczył zającę plenię winą za zbyt bujny przyrost naturalny i w roku 755 wydał zakaz spożywania zajączego mięsa przez duchownych. Od tej pory zajączek zaczął przynosić nie dzieci, lecz wielkanocne łakocie, a zagrożenie kłatwą księża i zakonnicy przerzucili się wówczas na — równie smaczne i, niestety, równie płodne — króliki. Natomiast pozycja polskiego zająca w śmietaniu z buraczkami od stuleci jest niezachwiana.

Polski obyczaj alkoholowy ograniczmy do kilku zdrowych toastów. A więc: wesolych świąt!

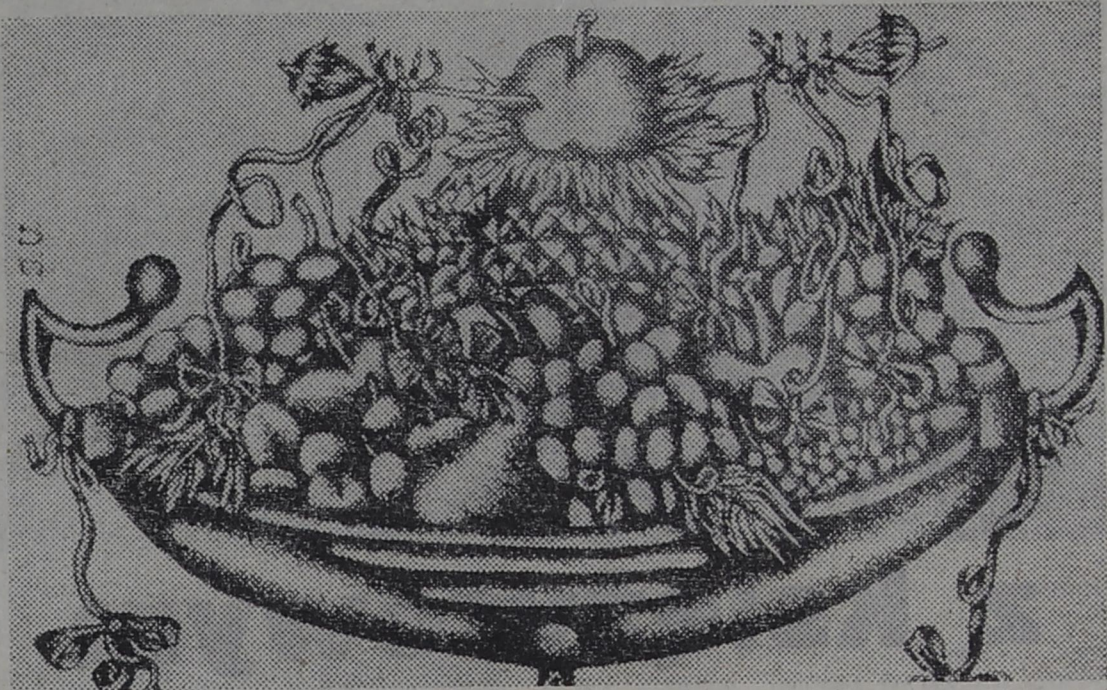
DANUTA WRONISZEWSKA
Rys. JACEK URBANSKI





wykwity

Inaugurujemy dziś nową rubrykę; zamierzamy w niej zamieszczać te wszystkie teksty, które nie były przewidziane przez autorów do druku, natomiast zawierały treści skierowane do urzędów, instytucji lub innych ludzi, pozostających z autorami w związkach uczuciowych lub służbowych. „Wykwit – według Witolda Doroszewskiego, to m.in. – najwyższy przejaw, najwyższe osiągnięcie twórczości artystycznej”. Czyż nie da się nazwać najwyższym osiągnięciem „artystycznym” udanej próby zdobycia wyżyn absurdu? Nie możemy zatem przystać na zaginięcie w przepastnych szufladach i grubych skoroszytach i tego dowodu wysiłku umysłowego obywateli.



ku pamięci!

Życie to nie sen uroczy
ani baśń tęczowa,
tylko walka bezustanna.
Bądź do niej gotowa!

Sarnie schwytej lzy z oczu płyną,
bo bardzo żal jej wolności.
I tobie także żal kiedyś będzie
udanej kwitnącej młodości.

Róża ma kolce i kłuje,
kłując zadaje rany.
Tak cierpi człowiek, który kocha,
a wie, że nie jest kochany.

Bądź ozdobą rodzinnego domu,
ojca i matki pociechą.
Nie szukaj szczęścia między
obcymi —
znajdziesz je pod rodzinną strzechą.

Biedni, którzy wciąż padają,
idąc życia drogą,
Lecz biedniejsi ci, co legną
raz i wstać nie mogą.

Kiedy będziesz stara już,
okulary na nos włoż,
weź do ręki swój pamiętnik
i przeczytaj podpis mój.

Pamiętaj, że lata płyną,
że młodość nigdy nie wraca.
Owoce twojej młodości
niech będzie szlachetna praca.

Ludzie chodzą w kapeluszach,
a ja chodzę w czapce.
Ludzie piszą na papierze,
a ja na okładce.

Idź przez życie śmiało
i miej pewną minkę,
łap szczęście za ogon
i duś jak cytrynkę.

Jeśli kiedyś myślą przelotną
przeglądać będziesz dawne
wspomnienia,
niech i na moją kartkę samotną
przychylnie padną spojrzenia.

Idź tam, gdzie słychać śpiew,
tam dobre serce mają.
Pamiętaj o tym i wiedz:
żli ludzie nie śpiewają!

Nie jestem królową,
nie siedzę na tronie,
więc się wpisuję
na ostatniej stronie.

Serce ma tylko ten,
kto je posiada dla innych!

Burza złamała gałąź leszczyny.
Chłopiec odebrał serce dziewczyny.
Gałąź odrośnie, gdy maj powróci,
Serce do serca nigdy nie wróci.

Kamień się kruszy, woda
się sączy —
naszej przyjaźni nikt nie rozłączy.

Kiedy cię w życiu złamią cierpienia,
złość ludzka wycisnie ci łzy —
pamiętaj, że w Bogu znajdziesz
ukojenie,
On więcej cierpiał niż ty.



nowiny?

Pożalowania godne żarty prima
aprilisowe! A przysięgał, że jego o-
biektyw nigdy nie kłamie. I co się
okazało? Otóż dzikowieprza uda-

Ile razy jedząc zrazy
trafisz na cebulę,
tyle razy, bez urazy,
wspomnij i mnie czule!

Los nas pędzi w różne strony,
jak te morskie fale,
lecz ty o mnie, ja o tobie,
pamiętajmy stale!

Jeśli mówisz, mów szczerze,
Jeśli gardzisz, gardź podłością.
Jeśli cierpisz, cierp wytrwale.
Jeśli kochasz, kochaj stale!

Śmiej się dużo, ucz się mało.
Na klasówkach ściągaj śmiało.
Nie znaj, co to życia trud.
Jeśli trzeba, kłam jak z nut!

Butelka rumu korkiem zatkana.
Wiwat, niech żyje Ewka kochana!

Na odległym wzgórzu
kapral wojsko ćwiczy.
Niech na koniec roku
Ewka piątki liczy!

Kiedy siedzisz przy zadaniu,
nie myśl nigdy o kochaniu,
bo kochanie bardzo szkodzi
temu, kto do szkoły chodzi.

Wszyscy się wpisują,
lecz o tym nie wiedzą,
że ten twój pamiętnik
kiedyś myszy zjedzą!

Gdybym była ogrodniczką,
dałabym Ci róży kwiat,
ale jestem uczennicą —
życzę ci szczęśliwych lat.

Na górze róże,
na dole fiołki.
Kochajmy się, Zosiu,
jak dwa aniołki.

Jesteś piękna jak aniołek,
lecz serduszko Twoje złe,
bo uparte jak koziołek —
nie chce kochać mnie.

Śmiej się wśród ludzi,
płacz tylko w ukryciu.
Bądź lekką w tańcu,
ale nigdy — w życiu.



Wzruszyła nas TVP informacją,
że potomkowie śląskich Piastów do
dziś nie dali się wykopać z tronu
Księstwa Luksemburga. A oto co
z tego kraju donosi umysłowy
„Spieć”: „W kręgach zbliżonych do
monarchii Luksemburga (2586 kilo-
metrów kwadratowych; 331 tysięcy
mieszkańców; podstawa gospodarki
— mądrość) trwa ożywiona dysku-
sja nad ewentualnością spłaty wszy-
stkich długów rodaków znad Wisły
przyłączenia Polski do Macierzy.
Oczywiście, nie brak malkontentów
i oportunistów, którzy szermując
straszakiem tzw. „cyklu polskiego”
dowodzą, iż wielowiekowa dyna-
stia miałaby wówczas szansę prze-
trwania nie dłużej, niż dziesięć lat.

„Spiećcia» w jądrze rzeczywisto-
ści» — pod tym hasłem już od dziś
znajdziesz, Szczwany Czytelniku,
cykl wywiadów z futurologicznymi
problemami, nad którymi trzeszczą
najtęższe intelekt.

Rozmowa I (zapis nieautoryzowa-
ny):

— Jakże związki? — z tym pyta-
niem zwracam się do byłego człon-
ka „Solidarności”, który przed chwi-
lą wyraził o niej swą jednoznaczną
opinii, cytując: „Hm, hm”.

— Na rozum biorąwszy...
— A konkretnie, swoimi słowa-
mi?

— No, jeśli swoimi słowami, to
powiem krótko: Związki [...] robot-
nicze [...] muszą [...] być [...] zwią-
zkami [...] robotniczymi!

„Bar Kawowy” w Zambrowie —
obok kawy, herbaty i innej wody
serwuje także, extra gratis, wóń
mocu w stężeniu. Postępowy rol-
nik z podgrodzia wpadł więc ostat-
nio na pomysł, by zeszkrobać prze-
siąknięte azotem ściany i uzyska-
nym w ten sposób składnikiem „N”
zasiłić cherlawe oziminy. Jakkolwiek
technologiczne założenie pozyskania
cennego nawozu zdają się być
bez zarzutu, istnieje obawa, iż
miejscowy Sanepid może nie zgo-
dzić się na tak niehigieniczne trak-
towanie roślinek.

Drodzy chłopcy z ul. Turlejskie-
go w Łomży! Zachowujecie się bar-
dzo nieładnie, hałasując w piwni-
cach od południa do zmroku swo-
imi wspaniałymi maszynami. Jeżeli
przyrzekniecie, iż od tego numeru
będziecie grzeczni, mam dla Was
torbę lizaków (1 sztuka 15 złotych,
Made in Oficjalny Spekulant). A je-
żeli nie, to tak Wam p... że pospa-
dacie z tych Waszych g... motoro-
werków! I będzie spokój. Jak w
przedszkolu.

W ciągu ostatnich siedmiu dni
przy „Barze” w Andrzejewie nie
zdarzył się ani jeden wypadek! W
związku z tym gorąco przepraszamy
p. Ajenta, ob., ob. Prezesa, Na-
czelnika i Radnych za ciemnomrocz-
ne wizje i antybarowość naszych u-
biegłorocznych łamów. Jednocześnie
prosimy, aby szacowne Kolegium
zechciało wziąć pod uwagę przed-
grudniowe rozczelstanie w ogóle, a
zachowanie się wiadomych grup —
mających, jak się okazało, powią-
zania z siłami — w szczególności.

Zakład mięsny w Łomży odnowił
recepturę wyrobu wędlin tak sku-
tecznie, że w kilka godzin po na-
pchaniu flaka 800-kilogramowe pę-
to ruszyło ruchem robaczkowym po
magazynie. Aby pozbyć się rzeczo-
wego dowodu, kierownictwo zakła-
du żywcem spaliło kiełbasę we
własnym krematorium. Niestety,
Pan Bóg nie przyjął tej Kainowej
ofiary i — smród poszedł w lud.
Śledztwo trwa.

wała głowa dzika ze ściany pana
S. G., wyleknioną kurę — jarzębat-
ka p. Ani, zaś co do konkursu... ład-
nego nam piwa ten szalony fotore-
porter nawarzył! Łudzimy się, że
nikt — poza nami — na te „nowiny”
się nie nabrał i że tylko nas doty-
czy ta impertynencka figa bez ma-
ku.

Zbieranie znaczków pocztowych swą popularnością zdecydowanie zdystansowało inne kolekcjonerstwo. Głównie dzięki znikomym wymiarom znaczków, co daje — ważną dla wielu — możliwość przechowywania ich na małej przestrzeni oraz ich powszechność. Pierwszy katalog filatelistyczny ukazał się w 1863 r. w Anglii — zapoczątkował dokładne ewidencjonowanie wszystkich ukazujących się znaczków.

W początkowym okresie zabiegano przede wszystkim o to, by posiadać jak największą ilość egzemplarzy z różnych krajów i różnej wartości. Ten raczej rozrywkowy charakter gromadzenia zbiorów zmienił się po pierwszej wojnie światowej, stając się formą gromadzenia oszczędności, a nawet lokaty kapitału — ze względu na stałą wyższkę cen znaczków wydanych w latach 1840—70. Powoli rozpowszechnia się zbieranie selektywne: kilku krajów (np. Europy), później jednego kraju lub kilku wydań pierwszego okresu. Są nawet zbiory poświęcone tylko jednemu znaczkowi! Popularnym staje się również ograniczanie się do jednego motywu, np. malarstwa, flory, fauny, sportu, folkloru, muzyki.

Zbierają znaczki osoby rozporządzające bardzo różnicowanymi środkami materialnymi, o różnej płci i wieku; można powiedzieć, że filatelistyka jest najbardziej demokratyczną formą kolekcjonerstwa. W tym gronie byli m.in.: generał Eisenhower, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych; prezydent Roosvelt; generał de Gaulle. Do tradycji, sięgającej kilku pokoleń — rodzin królewskich Anglii, Belgii — należy kolekcjonowanie i posiadanie najbogatszych zbiorów znaczków pocztowych.

Filatelistyka kształci zbieracza, bawiąc go jednocześnie: zapoznaje z geografią, historią, kulturą i sztuką, ekonomią i polityką — w znaczkach bowiem jak w zwierciadle odbijają się dzieje każdego kraju, jego osiągnięcia i upadki. Odczytując napisy, korzystając z katalogów i wymiany zagranicznej poznajemy języki obce. Technika druku znaczków i ich artystyczna reprodukcja wyrabia smak estetyczny i poczucie piękna. Poza tym, gromadzenie zbiorów uczy porządku, kształci uwagę i spostrzegawczość.

Obok tych indywidualnych korzyści, które osiąga sam zbieracz, ma filatelistyka walory społeczne: daje korzyści otoczeniu, społeczeństwu i państwu. Długie lata nauki szkolnej uczą człowieka jak przez odpowiedzialność ilość godzin na dobę pracować, lecz najczęściej nie dają wskazań, jak spędzać czas wolny od pracy. A przecież umiejętność organizowania sobie wypoczynku i rozrywki urosła do problemu wychowawczego o podstawowym znaczeniu — nieumiejętność ta staje się przyczyną pijanstwa, chuligaństwa. Dla państwa zaś znaczki są liczącym się elementem propagandy wewnętrznej i zagranicznej, a nawet źródłem dochodu. Sprzedaż paruset tysięcy nowych znaczków, bez świadczeń ze strony poczty, stanowi poważny wpływ, na którym wiele mniejszych państw opiera swe budżety (Monako, San Marino, Lichtenstein, Luksemburg, Triest i inne), a większe kraje również chętnie je widzą.

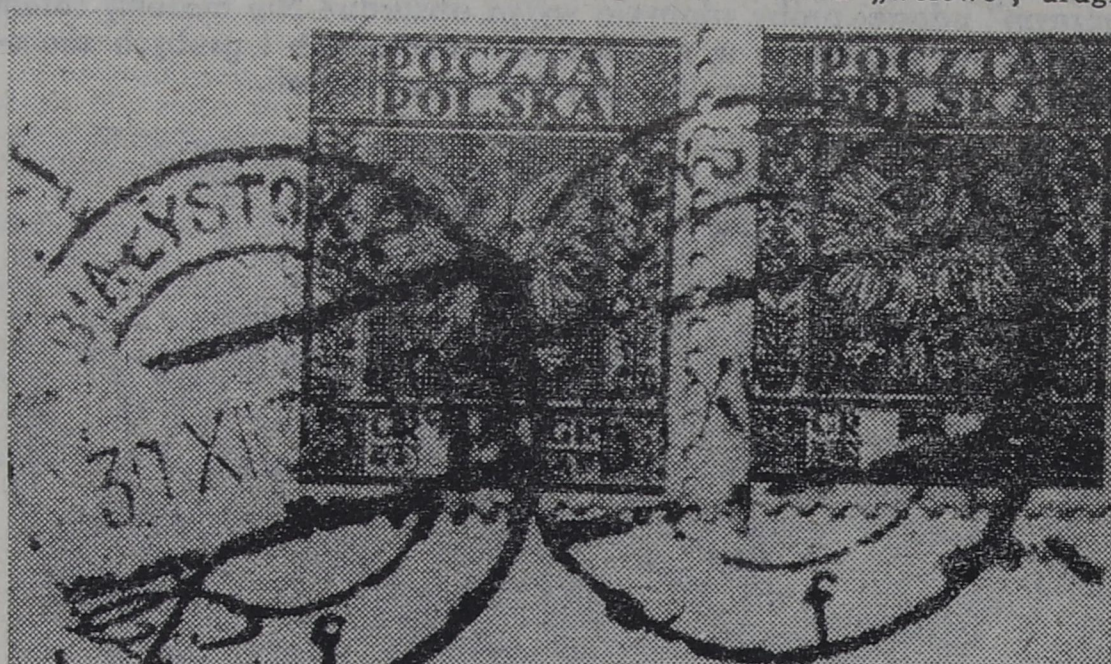
Kilka ciekawostek z tego zakresu: w 1964 r. z okazji I wystawy olimpijskiej „Verso Tokio” w Rimini, na Węgrzech wydano znaczek, który zrobił największą karierę ze wszystkich znaczków świata, wydanych w latach 1960—64. O nominale 1 forinta (sprzedawany za granicą po 5 forintów) kosztował w 1966 roku około 100 dolarów. Ta wysoka cena spowodowana była małym nakładem — przy interesującym temacie. Bardzo wielu nabywców w roku 1964 zlekceważyło jego pozycję i cel. Okazało się, że wydania znaczka były bowiem Europejskie Mistrzostwa Kreglarzy i taki motyw był na znaczku, ale do ostatniego rzędu w arkuszu (10x10 znaczków) dodano przywieszki z godłem olimpijskim i napisem „Verso Tokio, Rimini, 1964”. Gdy katalogi umieściły tę pozycję, zaczęło się jej poszukiwanie, a cena skakała w górę. Znaczek ten należał do najbardziej poszukiwanych.

Jedną z największych firm filatelistycznych na świecie jest Firma Stanley Gibbons, która liczy już ponad 125 lat. Legenda głosi, że Edward Stanley Gibbons był aptekarzem. Któregoś dnia 1856 roku do

jego apteki w Plymouth weszli dwaj marynarze — potrzebowali dosyć kosztownego lekarstwa, ale, niestety, nie mieli pieniędzy. Posiadali natomiast przy sobie kopertę pełną znaczków pocztowych. Zauważył ją Gibbons i zaproponował, że może ją przyjąć w zamian za lekarstwo. Znaczki oceniono na kwotę 5 funtów. Po pewnym czasie Gibbons zainkasował za nie 500 i wówczas doszedł do przekonania, że handel ten przynosi większy dochód niż lekarstwami. Zlikwidował więc aptekę i założył sklep filatelistyczny. W

wuję odległą wyspę za pomocą luty. Tymczasem przrząd ten wynaleziono dopiero w 1608 roku — w 102 lata po śmierci Kolumba!

Za najbardziej „treściwe” można uznać trzy pierwsze znaczki, wydane w latach 1843, 1844 i 1850 przez Brazylię. Nie posiadają nazwy kraju, ani wyrazu „poczta”; rysunek przedstawia na tle ornamentu jedynie liczbę określającą wartość. Fakt ten wcale nie przeszkadza brazylijskiemu, którzy zbierają je z zapałem, nazywając oczkami. Pierwsze wydane to oczka „wołowe”, drugie



z księżycowym stemplem

końcu lat sześćdziesiątych obrót firmy wynosił ponad dwa miliony funtów, a podatek blisko ćwierć miliona.

A oto kilka interesujących cen, jakie na światowych aukcjach filatelistycznych osiągnęły znaczki:

— USA — słynny znaczek lotniczy (kod Yvert Nr 3a) za 24 centy, ze środkiem odwróconym. Sprzedano ten rarytas w 1969 r. w Bazylei za 99 tys. fr. szwajcarskich.

— Na jednej z licytacji w USA

„kozie”, a trzecie „kocie”.

Jednym z przywódców „demokratycznej” Guatemali w latach 1931—44 był Jorge Ubico, który wyobrażał sobie, że jest drugim Napoleonem i we wszystkim starał się do niego upodobnić: porozwieszał w swym pałacu portrety Napoleona, naśladował jego ubiór, gesty i pozy. Dowodem tej osobliwej manii jest znaczek Guatemali (Nr 290 — kod Yvert'a), przedstawiający Ubico uczesanego po napoleońsku. Dowie-



znaczek tego państwa, Nr 140a z 1901 r., sprzedano za 20.000 dolarów (cena katalogowa wynosiła wówczas 4000 dolarów).

— Na aukcji w Zurychu w 1969 r. za znaczek Nr 1 Holandii zapłacono 22.000 fr. szwajcarskich. Sensacją wywołała także koperta z księstwa Luksemburg z czworobokiem znaczka nr 1a (szaro-czarny). Za ten list zapłacono 32.000 fr. szwajcarskich (podczas gdy cena katalogowa pojedynczej sztuki wynosiła 40 fr.).

400-lecie odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba (12 X 1492 r.) uczciły Stany Zjednoczone wydaniem serii pamiątkowej złożonej z 16 znaczków o tematyce zaczerpniętej z okresów sławnych malarzy — przedstawiały one różne sceny z życia wielkiego odkrywcę. Przeoczeniem jednak, i to zbyt późno dostrzeżonym, były znaczki o nominale 1c i 2c. Oto na znaczku 1c Kolumb obserwujący z pokładu swego statku ląd amerykański ma twarz gładko wygoloną, natomiast na następnym (2c) widzimy go — w kilka godzin później, zaraz po wylądowaniu — noszącego okazałą brodę. Czyżby chciał nią zaimponować pozabawionym zarostu krajowcom? Na pozostałych znaczkach tej serii Kolumb brody nie ma. Wielki Genuś — czyk spłatał również figla pocztę brytyjskiej, która w 1903 r. wydała wspólną serię dla grupy wysp antylskich. Widzimy Kolumba (z brodą) na pokładzie statku, jak obser-

dziawszy się pewnego razu, że po zamknięciu wystawy w Chicago w 1933 roku pokazywana tam miniaturowa paryskiej wieży Eiffla ma być pocięta na złom, bez namysłu kupił ją za 500 dolarów, przewiózł do Guatemali — miasta i rozkazał ustawić na jednej z głównych arterii. Chcąc zaś umożliwić całemu światu podziwianie tej — jak ją pompatycznie nazwał — „Wieży Reformatora” (Torre del Reformador), polecił umieścić jej podobiznę na znaczku pocztowym (kod Yvert'a Nr 280).

Jedną z osób związanych z początkami państwa polskiego jest osoba wielkiego uczonego epoki sprzed tysiąca lat — papieża Sylwestra II. Pontyfikat jego przypada na lata 999—1003 — był to pierwszy w dziejach papież narodowości francuskiej. Gerbert d'Aurillac, bo takie było jego nazwisko, urodził się około 940 r. w Aquitaine, zmarł w 1003 roku w Rzymie. W Polsce był to okres panowania Bolesława Chrobrego; w roku 1000 przybył do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie cesarz Otton III, który snuł plany stworzenia wielkiej uniwersalnej monarchii chrześcijańskiej — państwo polskie miało w tych zamierzeniach odegrać poważną rolę. Na Zjeździe Gnieźnieńskim zapadło postanowienie o utworzeniu odrębnej metropolii polskiej. Papież Sylwester II wyraził zgodę na nową organizację kościoła w Polsce i ustanowienie arcybiskupstwa w

Gnieźnie. Metropolii tej miały podlegać założone biskupstwa w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie. Papież wysławił na pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego Radzima Gaudentego, brata św. Wojciecha. Samodzielność kościoła polskiego jego niezależność od kościoła niemieckiego umożliwiła koronację Bolesława Chrobrego, której dokonał arcybiskup gnieźnieński już jako zwierzchnik kościoła polskiego. Te fakty historyczne mają swe odbicie w filatelistyce. Zjazd Gnieźnieński znajdujemy na znaczku polskim z 1938 r. (seria historyczna), na którym widzimy Bolesława Chrobrego, cesarza Ottona III. W końcu 1947 r. poczta czechosłowacka wydała serię trzyznaczkową o jednokowym rysunku, z podobizną św. Wojciecha. Znalazła również swe odbicie na znaczku polskim katedry gnieźnieńskiej w jednej z serii obiegowych miast polskich (1966 r.) — znaczek o nominale 5 gr. Na znaczku francuskim z podobizną Sylwestra II popełniono błąd: przedstawiono papieża w tiarze z trzema koronami, gdy tiara, jako pontyfikalne nakrycie głowy papieża, w początkowych okresach była w kształcie spiczastej, gładkiej czapki. Dopiero od pontyfikatu Mikołaja II (1059—61) na tiarze widzimy dwie korony, a od XIV wieku, dokładnie od czasów Jana XIII (1316—1334) tiara ma trzy korony.

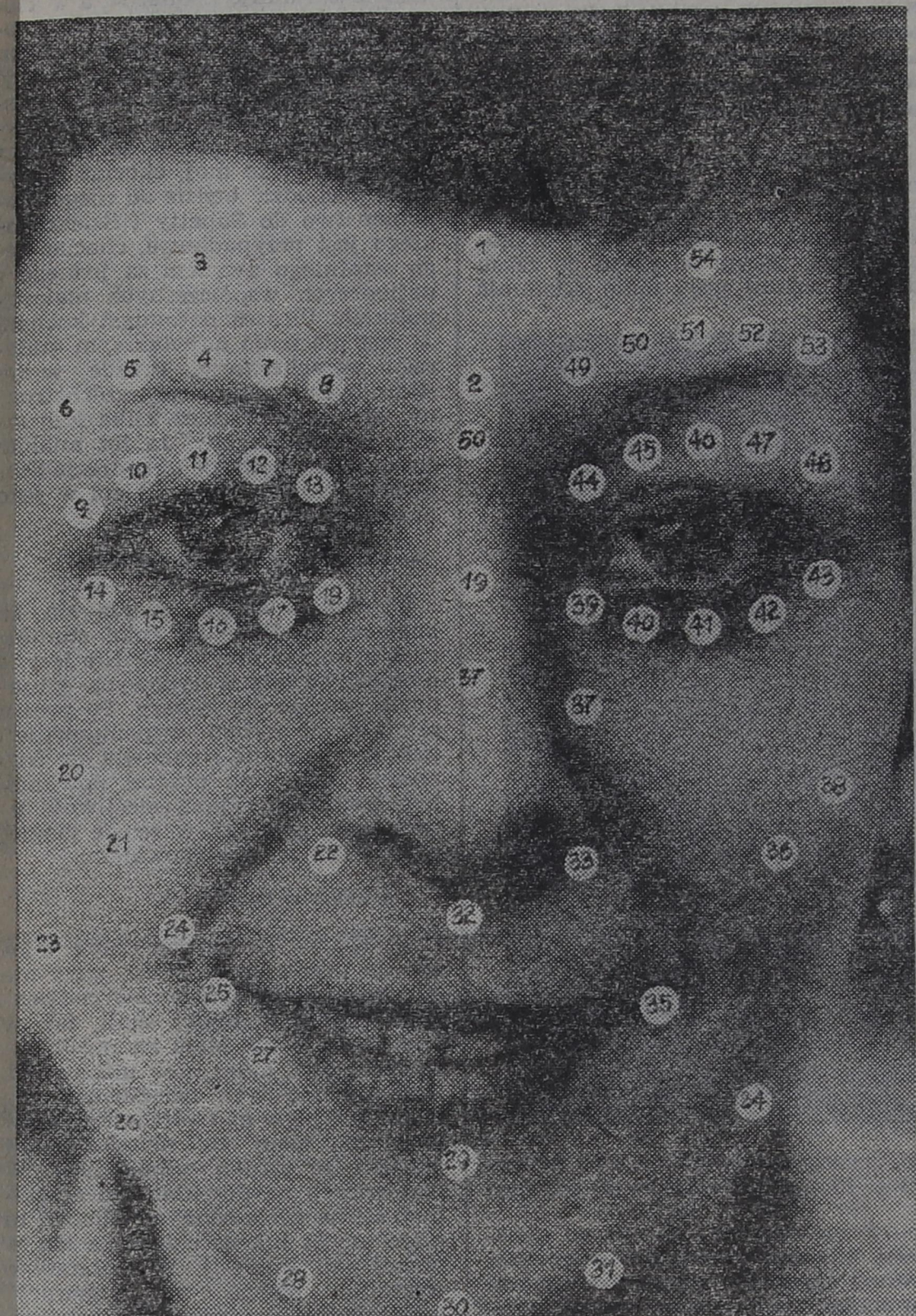
Filatelistyka w wydarzeniach najnowszych była jednym hobby, które znalazło się w programie amerykańskiej wyprawy na księżyc 16 lipca 1969 r. o godz. 14.32 z Przylądka Kennedy'ego wystartował do historycznej misji — lądowania na księżycu — statek „Apollo-11” z trzema kosmonautami: Armstrongem, Collinsiem i Aldrinem. Na powierzchni księżycy zabrali ze sobą miniaturowe flagi 136 państw świata, plaketkę z napisem „Ludzie z planety Ziemia stanęli na księżycu po raz pierwszy w lipcu 1969 roku. Przybyliśmy tu w imię pokoju dla całej ludzkości”. Oprócz tych pamiątek, na prośbę Sekretarza Generalnego ONZ U. Thanta, astronauta Armstrong pozostawił na powierzchni księżycy specjalną pocztówkę, na której został wydrukowany wstęp do Karty Narodów Zjednoczonych. Po drugiej stronie jest siedem znaczków prezentujących aspiracje i osiągnięcia ONZ. Typowo pocztowa przesyłka została doręczona na Księżyc. Ponadto bardzo interesującą filatelistów czynnością, którą włączono do programu pracy obu pierwszych ludzi na księżycu, było ostemplowanie listu na powierzchni Srebrnego Globu specjalnie przygotowanym na tę okazję datownikiem. Na list naklejono próbę znaczka lotniczego, jaki został później wydany w USA dla upamiętnienia pobytu pierwszego człowieka na księżycu. „Księżycowy stempel” powrócił z kosmonautami na Ziemię i był stosowany w USA do pieczętowania kopert FDC z dziesięciocentowym znaczkiem. Natomiast unikalny list, który przebył trasę Ziemia—Księżyc—Ziemia umieszczony został w Muzeum Poczty.

Po tych wiadomościach o walorach i ciekawostkach filatelistyki chcę przypomnieć, że redakcja śląskiej „Panoramy” ogłosiła w 1969 roku konkurs na najpiękniejszy znaczek 25-lecia. Duży nakład piśma (około 500 tys.) zapewnił udział w plebiscycie sporemu gronu czytelników z miast i wsi całego kraju oraz czytelnikom zagranicznym. Z listy dwudziestu pięciu znaczków, które wybrano w wyniku selekcji, dokonanej wspólnie z jury, za najpiękniejszy znaczek 25-lecia uznano znaczek za 1.35 zł z serii malarstwo polskie, projektu A. Heidricha z obrazem Stanisława Wyspiańskiego — „Portret Elizy Pareńskiej” — na znaczek ten oddano 5.406 głosów. Drugie miejsce uzyskał znaczek wydany w 1945 roku z okazji rocznicy walk o Westerplatte (3342 głosy), a trzecie — znaczek za 60 gr z serii historycznej 1000-lecie Państwa Polskiego (1916 głosów).

Wielbiciele znaczka tworzą wielomilionowy światowy ruch filatelistyczny, który wyraża bardzo przystępnie całą filozofię Deklaracji Praw Człowieka: umożliwia spotkania na różnych płaszczyznach, między ludźmi z różnych krajów, bez względu na narodowość, kolor skóry czy wyznanie.

LUCJAN WĘGRZYN
Wiceprezes Polskiego Związku Filatelistów

wierzcie-nie wierzcie | Świńska mądrość



W poprzednim numerze rozszyfrowaliśmy tajemnicę pieprzyków na plecach. O czym mówią pieprzyki na twarzy, czytaj poniżej. Uprowadzamy jednak, że piegów nie należy brać pod uwagę.

1. Oznaka życia uduchowionego, nawet ze skłonnością do mistyki. 2. Charakter namiętny, gwałtowność uczuć, natura bez wahań. 3. Skłonności do bólów głowy. 4. Natura kłótniwa, powikłania rodzinne. 5. Małżeństwo z osobą sławną albo mającą wysokie stanowisko. 6. Znakomita pamięć, talent dyplomatyczny, towarzyska układność. 7. Miłosne perypetie. 8. Zazdrość. 9. Zbyt łatwo, najczęściej bez powodu, zostawiasz swego partnera „na lodzie”. 10. Szukasz szczęścia w wielkiej, jedynej miłości. 11. W wierności znajdziesz szczęście. 12. Instykt matczyński, umiowanie ogniska domowego. 13. Wyobraźnia bogata, twórcza. 14. Życie małżeńskie bogate uczuciowo i erotycznie. 15. Zmienność charakteru. Dwa pieprzyki w tych samych miejscach, pod obu oczami zdradzają naturę uwodzieńską, której sukcesy są wyjątkowe. 16. Zapowiedź wielu dzieci. 17. Uprawiasz niebezpieczne zajęcia. 18. Skłonność do niepotrzebnej komplikacji uczuć. 19. Oznaka charakteru oryginalnego, dziwnego. 20. Zaradność, spokojne, ciche życie. 21. Wyjątkowo rozwinięty instykt rodzinny. 22. Strzeż się wody (oczywiście nie tej do mycia). 23. Skłonność do popadania w ponury nastrój często bez powodów.

24. Zmysłowość erotyczna. 25. Znamień szczęścia: w grach, w życiu. 26. Przekładasz ponad wszystkie uciechy życia zastawiony stół. 27. Niezłomność woli, nieuleganie wpływom otoczenia. 28. Szczodrość charakteru, dobroć, pogoda ducha. 29. Lenistwo, niedbałość. 30. Delikatny organizm podatny na choroby. 31. Język szyderczy, lecz serce na dłoni. 32. Pozyskać cię łatwo najprostszym pochlebstwem. 33. Upierasz się przy swoim nawet wbrew rozsądkowi. 34. Nic ci nie przeszkodzi w osiągnięciu celu. 35. Głęboka miłość małżeńska. 36. Miłość nie zna granic, znamień obok nozdrzy przepowiada burzliwe życie. 37. Charakter namiętny, siła woli; jutro zdobywasz przebojem. 38. Umiowanie porządku. 39. Chorowita natura. 40. Niepospolita wrażliwość pozwalająca jednak żyć całą pełnią. 41. Powodzenie we wszystkich przedsięwzięciach. 42. Pobudzasz zmysły. 43. Nieuzasadniona podejrzliwość, skłaniająca często do gniewu. 44. Gwałtowność, wybuchowy charakter. 45. Umiowanie wolności, niezależności. 46. Nie stać cię na kompromisy, postępujesz według zasady: wszystko albo nic. 47. Ugodość, elastyczność. 48. Wspaniała intuicja, zapowiedź ciekawego losu. 49. Charakter zamknięty, trudny do zrozumienia. 50. Temperament marzycielski, kłopoty materialne. 51. Umysł analityczny, chłonny. 52. Macierzyńska wrażliwość. 53. Rozmowa z tobą bez sprzeczki obejść się nie może. 54. Górnośląskość, zamiłowanie do spraw niezwykłych.

cukierki „kryzyski”

Ten przepis dedykujemy wszystkim tym, którym kuse przydłają na słodkości nie wystarczają. Na cukierki „Kryzyski” wystarczy: 1 szklanka mleka, 1 szklanka cukru, 1 łyżka kakao, tyleż budyniu lub maki ziemniaczanej oraz szczypta proszku do pieczenia (niekoniecznie).

Wysiłek twórczy: cukier z mlekiem gotować tak długo, aż zacznie gęstnieć (ciemniejsza masa). Dopiero wówczas, mieszając, dodać — rozcieńczone odrobiną mleka — budyn.

kakao i żdzibko (pół łyżeczki) proszku do pieczenia. Gdy w garze są już wszystkie półprodukty, trzeba uzbroić się w cierpliwość i wytrwale, choć z przerwami, mieszać oraz sprawdzać, czy już krzepnie. Poznaje się ten moment przez wylewanie co jakiś czas kropelki masy na talerz wysmarowany tłuszczem. Gdy owo nabieranie krzepy stanie się faktem, masę wylewa się czym prędzej do płaskiego, również otłuszczonego naczynia i kroi na kostki.

Nazywają cię świnią. Człowieku, nie obrażaj się, a przyjmij ten epitet jako komplement. Świnia bowiem otwiera — jeśli wierzyć najnowszym badaniom — listę dziesięciu najinteligentniejszych zwierząt, wyprzedzając szympansa, orangutana, goryla, psa, kota... Człowiek jednakże sprawia, że świnia traci wszelką sposobność do zaprezentowania swoich możliwości, bowiem nim osiągnie wiek dojrzały, ginie w naszych rzeźniach. Kiedy w laboratorium stworzono jej odpowiednie warunki, okazała się jedynym zwierzęciem, które samo potrafiło regulować racje pokarmowe, nie niszcząc przy tym pożywienia i nie narażając się na niestrawność. Świnia z łatwością odnajdywała każdą, skomplikowaną nawet, drogę do karmy, czego nie potrafiły inne zwierzęta. A jak jest z tym nawykiem nurzania się w błocie? Okazuje się, że to jej jedyna sposobność ochrony przed żarem i owadami, taki najzwyklejszy prysznic. Świnia przebywająca na wolności troszczy się o swoją higienę najlepiej ze wszystkich zwierząt. Jeśli żyje w niechlujstwie, to tylko z winy leniwego gospodarza. Znałe są przypadki, kiedy zwierzę to gramoliło się na drzewo podczas powodzi i siedziało tam dopóty, dopóki woda nie opadła. Podczas wybuchu atomowego na atolu Bikini w roku 1946 była jedyną żywą istotą, która wtedy ocalała. W jaki sposób — nie wiadomo. Faktem jest, że najspokojniej w świecie pływała w ciepłych wodach laguny.

kalendarz dla kichających

Jak się w poniedziałek na czczo kichnie, to dostanie się prezent. We wtorek jak kichnie kto, będzie miał miłe widzenie. W środę — nieprzyjemność spotka. We czwartek — usłyszysz się przyjemną nowinę. W piątek — będzie się wesoło bawić w niedzielę. W sobotę — wszystkie zamiary niedzielne na nic. W niedzielę — spodoba się.

Według nas — kilkakrotnie kichanie po śniadaniu wróży spotkanie z lekarzem.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
A													
B													
C													
D													
E													
F													
G													
H													
I													
J													
K													
L													
M													

POZIOMO: A-1) mebel do spania, A-8) przechadzka, C-1) główna tętnica, C-9) siostra Balladyn, D-5) ojczyzna Dalaj-Lamy, E-1) stara łódź, E-9) grecka wyspa na M. Śródziemnym, F-1) symbol chemiczny złota, F-4) jezioro i prowincja w Kanadzie, F-12) nie ja i nie ty, G-2) jednostka ilości materii, G-10) niski głos męski, H-1) symbol chemiczny krzemu, H-4) stan w USA, H-12) około, circa, I-1) rośnię w tropiku lub w wazonie, I-9) władca indyjski z dynastii Mongołów, J-5) strumień, struga, K-1) zdołał ucho kobiece, K-9) pies, pierwszy pasażer sputnika, M-1) państwo w Afryce, M-8) obca tchórzowi.

PIONOWO: 1-A) bywa u drzwi, 1-H) czyta tekst w DTV, 2-E) miasto w pobliżu Gdyni, 3-A) zimowy sprzęt sportowy, 3-I) hiszpańskie imię żeńskie, 4-E) kombinat wyrobów oświetleniowych, 5-A) drzewo parkowe, 5-H) forma poetycka, 6-F) doskonały rozpuszczalnik, 7-B) znane uzdrowisko dla dzieci, 7-H) może być drogowy lub lodowy, 8-F) hiszpańska nazwa rzeki, 9-A) opadają z kwiatu, 9-H) ilość egzemplarzy wydania, 10-E) jeden z bohaterów „Pana Tadeusza”, 11-A) druga ojczyzna Ignacego Domeyki, 11-J) jej twórcą był Ezop, 12-E) tytuł opery lub marka telewizora, 13-A) prezydent USA, 12-H) tajniki, kunszty tajemne. (j)

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do 30 kwietnia br. na adres redakcji: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7. Między czytelników, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy nagrody książkowe.

TANIE DANIE

sałatka po turkmeńsku

400 g rzodkwi oczyścić ze skórki i zetrzeć na tarce o grubych oczkach; następnie rozdrobnić w ten sam sposób 100 g żółtego sera. Dodać małą puszkę odsączonego zielonego groszku, posolić i starannie wymieszać. Wyłożyć na salaterkę i polać masę śmietaną. Dekorować różyczkami ugotowanego ziemniaka, buraczką, gotowanym jajem, kiszonym ogórkiem, zieleniną.

radę naszych prababek

Jeśli rzeżucha zdobi twój wielkocny stół, warto o tym wiedzieć:

- ◆ roślina ta jest nieocenionym źródłem wit. C, wit. E i żelaza,
- ◆ dezynfekuje jamę ustną i przewód pokarmowy,
- ◆ łagodzi suchość w gardle każdemu palaczowi papierosów,
- ◆ rozrta z naturalnym miodem działa odżywczo na cerę,
- ◆ jej sok usuwa z rąk ciemne pigmentowe plamy.

sposób na lwa

Afrykańska roślina o łacińskiej nazwie Harpagophytum procumbens może uśmiercić lwa. Jej kolczaste owoce, w kształcie ostrych haczykowatych wyrostków, niezwykle łatwo przyczepiają się do sierści, a szczególnie do długiej grzywy lwa. Jak opowiadają tubylcy, gdy lew próbuje je usunąć, owoce jeszcze głębiej wbijają się w głowę. Znużone zwierzę przestaje polować i najczęściej ginie śmiercią głodową.

13

KONTAKTY
11.IV.1982

stragan pod 13



Stanisław Kędziawski, urodzony w 1945 r. w Tarnowskich Górach, jest absolwentem Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (1975). Mieszka w Łomży. Swoje malarstwo i grafikę prezentował na wystawie indywidualnej w Katowicach w roku 1974. Uczestniczył w wystawach poplenerowych w Mysłowicach (1974), Tarnowskich Górach (1975) i Łomży (1978), ponadto — w wystawie zbiorowej łomżyńskiego środowiska plastycznego (1979).

— Jak rozpocząłbyś autoprezentację?

Stanisław Kędziawski: — Zastanawiam się, czy ta rozmowa w ogóle ma sens. Nie lubię takiego komunikowania się, bo nie umiem wyrazić tego, co naprawdę chciałbym powiedzieć. Gdyby to polegało na malowaniu, byłoby mi łatwiej. Wiele treści nie da się przekazać — czy choćby sprecyzować — słowem. Są poza tym sprawy osobiste, intymne, nie do upowszechniania. Ale spróbujmy.

— Jak zatem rozmawiasz językiem plastyki?

St. K.: — Są artyści, którzy noszą w głowie gotowy projekt, a potem rzucają go tylko na płótno i dzieło skończone. Natomiast moje obrazy powstają na roboczo; są to ciągle impresje. Najpierw jest zawsze bodziec. Może nim być zdarzenie, film, przeczytana książka. Reakcją — ale nie ilustracją — jest obraz. Nigdy nie wiem, czy jest on skończony, czy nie; czy już powinienem przerwać malowanie, czy pracować dalej. Myślę, że w ogóle mało jest artystów mających taki finałowy moment. U mnie właściwie rzecz polega na ustawicznym malowaniu i niszczeniu tego, co zrobię. Przez to powoli, po omacku, zbliżam się do celu. A zatem nie obraz, a raczej proces. Oczywiście, jest nad tymi przemienionymi działaniami ogólna wizja realizowanego obrazu, jakieś ogólne wrażenie, które towarzyszy do końca fazom malowania i niszczenia. Z tej niepewności końca pracy nad obrazem wynikają zresztą poważne kłopoty. Niedawno Muzeum Okręgowe w Łomży chciało zakupić u mnie obraz do swojej kolekcji. Zapytano, który chciałbym w niej widzieć. Problem w tym, że dla mnie żaden nie jest jeszcze skończony. Nieustępliwi

klenci poprosili mnie zatem przytomnie o wybór płótna najbliższego ukończenia. Inaczej jest z rysunkiem. Mam dużą łatwość manualną. Tego, co mi bez trudu przychodzi, pozbywam się więc równie chętnie. Ważne jest też dla mnie w czasie pracy, by nie myśleć o odbiorcy, poddać się złudzeniu, że go nie ma; przez to nie ulegam pokusie robienia poprawek pod gust publiki, unikam chęci przypodobania się.

— Czy stopień samozadowolenia z wyników powstającej pracy nie jest wskazówką, w jakiej mierze jest ona gotowa?

malować i niszczyć



St. K.: — Odwrotnie. Zdarzają mi się chwile, że jestem zadowolony, ale to stanowi w moim przypadku sygnał, że coś nie jest w obrazie w porządku; mam poczucie, że jednak jest w nim coś fałszywego i po pewnym czasie zamalowuję go. Gdy uznaję obraz za skończony, to przypominam sobie, żeby za tydzień sprawdzić to wrażenie. Zazwyczaj ów test wypada podobnie: obrazu za gotowy uznać nie mogę. W ciągłym przemalowywaniu jest jeszcze jeden moment — strachu, że zrobiło się, być może, coś dobrego, co w kolejnym

przekształceniu zostanie bezpowrotnie zniszczone.

— Zajmujesz się również plakatem. Byłeś asystentem—stażystą Tadeusza Grabowskiego w Katedrze Plakatu Katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. W jakim związku pozostaje opisana metoda z tą dyscypliną twórczości?

St. K.: — Lubię plakat. Gdybym był w Katowicach, może robiłbym go nadal. O tyle dobrze jest go uprawiać, że stanowi czystą formę. Wskazane jest, żebym od czasu do czasu do niej wracał, gdyż mam skłonność

Myślę, że wszystko, co się robi, jest pewnym naśladownictwem, chociaż nie sposób ustalić, w którym momencie naśladowuje Leonarda, a w którym Picassa. Oglądając dzieło Leonarda mogę potem namalować obraz, który będzie wyrazem zanotowanego w moim mózgu odbioru pracy renesansowego mistrza, ale gdy go wyśkonam, nikt nie powie, że to obraz Leonarda, tylko mój, chociaż faktycznie pochodzący będzie od niego. Podobieństwo do Sapetty i Szamborskiego jest przypadkowe, chociaż to są go ostatniego uważam za jednego z najlepszych współczesnych malarzy polskich. Picassa natomiast kochałem — jest dla mnie największym malarzem wszechczasów. Przede wszystkim był niesamowicie wszechstronny; stworzył przecież kilka kierunków artystycznych. Ja też miałem, doskonałego pedagoga, Andrzeja Stanisława Kowalskiego. Byłem w jego pracowni malarstwa.

— Jak oceniasz ten okres życia?

St. K.: — Często zdarza się, że studenci na II — III roku studiów chcą stworzyć arcydzieło. Nie jest to niemożliwe, ale w typowych sytuacjach smutno się kończy. Po prostu człowiek się szybko „wypompuje”, kończy akademię i nabawia się frustracji. Pobyt na uczelni powinien być traktowany jako możliwość uprawiania plastyki, w sensie ciągłych próby. Tak też postępowałem.

— A pobyt w Łomży?

St. K.: — To bardzo dobre miejsce do uprawiania sztuki, gdyż nie odczuwa się tu problemów codziennego życia w takiej skali, jak w wielkim mieście. Mam na myśli dużą odległość, hałas, tłok uliczny itp. Zmniejszenie tych uciążliwości ma niemały wpływ na twórczość. Wbrew pozorom, mam tu również dobry kontakt ze sztuką współczesną. W Katowicach na przykład nie dostałbym się na wiele cennych filmów, tu mam nawet luksus oglądania ich w pustej sali kinowej. W malarstwie wszystko polega na obserwacji, wrażliwości, przeżywaniu, selekcji. Oczywiście, nie ma tu tylu bodźców, co w dużych aglomeracjach, ale można je znaleźć w postaci pośredniej, np. telewizyjnej. A potem znaleźć metodą: malowanie i niszczenie. Ale o tym była już mowa.

Rozmawiał JULIUSZ ŚWIREDO

sport mezalians

Prezes Gwardyjskiego Koła Sportowego przy Komendzie Wojewódzkiej MO w Łomży, płk Edmund Jaszewski, mezaliansem nazywa ożenek Sekcji Strzeleckiej z Łomżyńskim Klubem Sportowym. I ma rację. To niedawno zawarte małżeństwo wiceprezes WFS w Łomży, Henryk Trojanowski, usprawiedliwia tym, że nasz sport jest bardzo ubogi i aby mógł się rozwijać, musi mieć dobrych protektorów, a wszelkie znamiona takiego mecenasa spełnia Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Łomży.

Gwardziści wzięli na swoje barki cały ciężar organizacji sekcji; zaopatrzenie w sprzęt (bardzo drogi), szkolenie zawodników, zapewnienie środków transportu i wiele innych, niby drobnych, ale istotnych dla funkcjonowania sekcji powinności. Jednocześnie pozostają w cieniu, bo cały splendor z sukcesów strzelców spływa na ŁKS, który jedynie firmuje przedsięwzięcie. Trudno więc nie rozumieć uczuć niedosytu, a czasami i rozgoryczenia, które ta sytuacja wywołuje wśród działaczy w mundurach, chociaż skromność nakazuje im o tym nie mówić. Powiedzmy to — zgodnie ze starą zasadą o tym, co boskie, a co cesarskie — za nich.

Za sukcesami strzelców, które niewątpliwie są zasługą szkoleniowca Janusza Sobieskiego — jak twierdzi oddany duszą i sercem sekcji jej kierownik, kpt. Zbigniew Rawa — stoją również pozostający dotychczas w cieniu por. Janusz Żurawski i por. Józef Małaszewski oraz — pełniący rolę łącznika pomiędzy sekcją a szkołami (zawodnicy sekcji strzeleckiej to głównie uczniowie łomżyńskich szkół — mjr Eugeniusz Sadowski. Ten ostatni zadanie ma trudne, bo, niestety, szkoły nie są sprzymie-

rzeńcami sekcji. Zjawisko obojętności, a nawet niechęci, ludzi z oświaty do sportu nie noszącego barw szkolnych, chociaż wielu wyda się nieprawdopodobne, jest prawdziwe. Oczywiście, sprawy nie można generalizować, bo są i chlubne wyjątki. Aby nie wzbudzać niepotrzebnych waśni i zawiści, rzecz całą biorę na siebie, pamiętając, że trzeba będzie o nich powiedzieć, ale w innym czasie i innych okolicznościach.

Przed pięcioma laty, organizując sekcję strzelecką w Łomży, gwardziści wymazali na sportowej mapie Polski białą plamę, jaką Łomża była w strzelaniu. I dobrze się stało, bo sekcja, pomimo rozlicznych trudności, zanotowała w tak krótkim czasie wiele sukcesów. Przypomnieć wystarczy brązowe medale na dwóch ostatnich spartakiadach młodzieży: Zbigniewa Godlewskiego oraz Karola Domalewskiego. Albo też, o czym mało kto wie, złoty medal mistrzostw Polski Gwardyjskiego Pionu Sportowego w roku 1981, wywalczony przez Karola Domalewskiego, i srebrny — Zbigniewa Godlewskiego. Obaj uzyskali w PD-40 ten sam rezultat — 533 punkty. O kolejności zdecydowała dopiero ostatnia seria — lepszy okazał się Karol, który w konkurencji PP-10, wynikiem 361 punktów, wystrzelał srebrny medal. Renata Markowska w bkbs-60 leżąc, wynikiem 568 punktów, wywalczyła na tych mistrzostwach również srebrny medal. A na ogólnopolskich zawodach o Puchar Grunwaldu w Olsztynie drużyna w składzie: Karol Domalewski, Mirosław Bajorek i Zbigniew Godlewski, wynikiem 1537 punktów, w konkurencji PD-60, zdobyła drugie miejsce. Nie gorzej popisały się dziewczęta: Ewa Wyszomirska, Barbara Trzaska i Ewa Szczeciak, które w konkurencji PSK 30+30, wynikiem 1569 punktów, również zajęły trzecie miejsce. A wszystko to przy bardzo silnej konkurencji i na przestarzałym, wyeksploatowanym i raczej nadającym się do muzeum niż do zawodów, sprzęcie.

Działacze z innych klubów, obser-

wując wyniki osiągane przez podopiecznych Janusza Sobieskiego, nie domyślają się nawet, w jak trudnych warunkach oni trenują. A może właśnie one są dopingiem dla trenera i zawodników?

Należy odnotować jeszcze jedno niewątpliwie osiągnięcie: przez pięć lat istnienia sekcji przewinęło się przez nią ponad czterystu adeptów strzelania — o tyleż mniej młodzieży szwendało się po mieście bez zajęcia.

Jeszcze do jesieni ubiegłego roku w strzelaniu z broni krótkiej i bkbs zaprawiało się ponad 50 dziewcząt i chłopców. W sierpniu sekcja zawiesiła treningi z tej prostej przyczyny, że nie było gdzie trenować. Wyrugowano ich bowiem ze strzelnicy w Szkole Podstawowej nr 5, gdzie uprzednio, dużym nakładem pracy działaczy w mundurach i przez zaangażowanie sporych środków pieniężnych, adaptowano na strzelnicę pomieszczenia. Po prostu w kwietniu ubiegłego roku strzelców wzięto za pierze i... musieli trenować na powietrzu świeżym. Nikt by nie miał przeciwko temu, choć w naszym klimacie często pada deszcz i lata mamy coraz mniej słoneczne, ale strzelnica na stadionie miejskim nie spełnia podstawowych wymogów bezpieczeństwa. W każdej chwili może się ktoś niezaawazanie nawiązać na muszkę!

Treningi strzelcy wznowią dopiero w tym miesiącu ze względów, o których wyżej, a już pod koniec kwietnia czekają ich pierwsze zawody. Czy zdążą się przygotować?

Dokładnie przed półtora rokiem pisałem, że rozpoczęto budowę strzelnicy na fortach w Piątnicy. Pisałem z nadzieją i optymizmem. Nawiązałem, jakbym w Łomży nie mieszkał! Budowa bowiem toczy się w ślimaczym tempie, a właściwie ani drgnęła: jest na etapie pisania listów pomiędzy inwestorem, Wojewódzkim Ośrodkiem Sportu i Rekreacji, a naczelnikiem Gminy w Piątnicy. Sprawa była też tematem obrad Gminnej Rady Narodowej w Piątnicy i Komitetu Gminnego. I

poczta, i zainteresowani czekają z utęsknieniem zakończenia korespondencji. Zdenerwowało to chyba w końcu nawet wojewodę łomżyńskiego, bo zdecydował o kontynuowaniu tej inwestycji w bieżącym roku. Co z tego wyniknie? Pożyjemy, zobaczymy, choć do końca roku jeszcze daleko.

Tydzień temu w tym samym miejscu informowałem, że w Ośrodku Sportowym „Startu” powstanie kryta strzelnica do broni pneumatycznej i kulowej. Zaraz po napisaniu materiału było mi dane uczestniczyć w naradzie na ten temat — strzelnica będzie w tym roku. Debatowano przecież w poważnym gronie przedstawicieli KW MO, WFS, WKFSiT oraz „Startu”. Jeśli strzelnica w ośrodku „Startu” wyjdzie tak, jak się planuje, będzie to unikalny obiekt w skali krajowej bo Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu da środki, „Start” — lokal i sztyl, a wyposażeń — Gwardyjski Pion Sportowy.

Sport wyczynowy, a więc strzelectwo, będzie przez Gwardyjskie Koło Sportowe popierane, jako że posiada odpowiednią rangę, ale nie należy zapominać, że działalność podstawowa Koła to rekreacja i krzewienie idei sportu wśród funkcjonariuszy MO. I ma to odbicie w działalności; działają tu sekcja siatkówki pod kierownictwem ppłk. Waldemara Dąbrowskiego, szachowa — gdzie bryluje mjr Tadeusz Sadowski. Największym jednak powodzeniem cieszą się zajęcia w sekcji brydża sportowego, odbywające się pod kierownictwem mjr. Ryszarda Zielińskiego. Prawdopodobnie kibiców mało obchodzi działalność rekreacyjna Sportowego Gwardyjskiego Koła, ale nie należy zapominać, że od masówki bardzo blisko do wyczynu.

A wracając do strzelectwa. W małżeństwie różnie bywa: i mezalians może się w końcu okazać przyjemny w konsumpcji.

WYMIATAĆ

КОНТАКТЫ

WISIELCZE AKTUALNOŚCI

Ach te nasze nadzieje i skłonności do uogólnień! Nie zawsze ten, kto robi mądre miny, ma coś na prawdę do powiedzenia. Jeśli zaś chodzi o naszego miejscowego Nietoperza — nie ludźmy się, nie przemówi, choć już od lat tak wygląda, jakby zamierzał coś ważnego światu przekazać.

Uwaga! Urwał się z łańcucha Czarny Ludek i dostawia kropki nad „i”. Znak rozpoznawczy: twierdzi, że wie, gdzie raki zimują, a krasnale — myszy doją. Ponadto jest dziwnie zbudowany: ma wysoko plecy.

Na wiosnę demony znów przypinają skrzydła. Nie wiercie im. Robią nimi szum, ale nigdy nie wlatują. Wołają tylko: hop! — a skaczą inni.

Z popytem jest nadal dobrze: ludzie popytają, popytają i idą dalej.

OPOWIEŚCI SZKLANEJ KULI

Dla sekretarek kula jasno pokazuje na miesiąc czwarty po Nowym Roku: ranków niemało nerwowych, wieczorów niedużo upojnych, za to niedziel trzy spokojnie radosnych. A te ranki nerwowe przez kierowników i dyrektorów tylko, bo miesiąc dla nich niedobry. Sekretarki będą dużo biegać, usługiwać i do stołów herbatę podawać, aby się szefowie dobrze naradzić mogli, a jak się naradzą, dużo pism będą kazali rozsyłać. Co do niedziel spokojnie radosnych, to z tej przyczyny, że najwięcej spotkań z chłopcami na ten dzień wypadnie, ale znajomymi, bez niespodzianek i nowych znajomości. Niech się więc panienki sekretarki ustawiają na cierpliwość, bo mają może przynieść odmianę. Starsze zaś panie doczekają się w tym miesiącu jakichś pieniędzy pożądanych, które już teraz niech przeznaczą mądrze, bo kula mówi, że lekko będą szły z ręki. Dla dziewcząt, które gotowią się na sekretarki: kwiecień nauce tego zawodu nie sprzyja.

WROZBY WIOSENNE

Wyjdź nocą na rozstajne drogi i wyteż słuch: z której strony koń zarzy, z tej przyjdzie do ciebie szczęście.

Pamiętaj, że kruk jest posłem szczęścia. Staraj się dostrzec go pierwsza w okolicy, i to wcześniej rano.

Nie ostrz noża w święta lub w niedziele, bo skaleczenie się nim trudno się goi albo jest śmiertelne.



Polskie duszki Andrzeja Podulki



Podulka

MLEKOJAD ŁAGODNY. Cichy i spokojny duszek, nie wymagający zbyt wiele od życia. Odżywia się głównie mlekiem prosto od krowy. W razie braku krowy — zjada mleko w proszku lub proszek do prania. Nie gardzi też papierem toaletowym. Popijając szamponami potrafi zjeść wszystko. Trawi nawet wiadomości prasowe. Miewa czasami dziwne pomysły. Staje wtedy w długiej kolejce z innymi mlekojadami, żeby kupić swoją porcję kartkowego mięsa.

Zdjęcia GABORA LÖRINCZEGO



urok czarów czyli niewesołych świąt

Skoro my nie możemy mieć całkiem wesołych i całkiem dostatnich świąt — niechże nie mają ich także nasi wrogowie!

Jeśli masz w posiadaniu kość ludzką, kołtuna lub paznokcie nieboszczyka — połóż w rogu zniemawidzonego domu, a choroba lub inna klęska rychło doń zawita.

Gospodarzowi cieszącemu się liczną żywiną podrzuć pod próg łeb, nogi i racice ze zdechłych bydła, to on i swoje niebawem postrada.

Chustkę lub spódnicę fałszywej przyjaciółki zarzuć na organy w kościele; ilekroć organista w klawisz uderzy, tylekroć ona darcie w członkach czuć będzie, aż ktoś jej rzeczy z organów nie zdejmie.

Weź palec wisielca, wysusz go i zetrzyj na proszek po czym wysyp do jakiegokolwiek potrawy, którą zanieśiesz w prezencie świątecznym swojej teściowej lub rywalce. Mogę cię zapewnić, że już niedługo ten świat — po spożyciu — oglądać będą.

Aby zaś wszystkie te czary miały większą skuteczność — postaraj się ukraść coś z domu osoby, której je zadałeś. Sam się przekonasz, że może być wesoło i bez dostatków.

Na wszelki wypadek zajrzyj do „Pokus” w następnym numerze. Po- wiem Ci, co zrobić, jeśli ktoś z tych świństw uczynił ci krewni lub znajomi. (zel)

PORADY DUCHOWE

Zaniepokojona S.N. odkryła niedawno, że ojcem jej dziecka jest nie mąż, tylko czort wie kto.

Droga Czytelniczko, jeżeli dziecie ma coś więcej niż kość ogonową, lekko zrogowaciałe stopki lub podejrzenie uniesione włoski nad skroniami, wówczas rzeczywiście trzeba szukać ojca w piekle.

☆

Jana M. budzi co nocy jakiś upiorny chichot, a już szczególnie szatański wtedy, gdy śni mu się jego szef, żona lub teściowa w opalach.

Nie chcemy przesądzać zjawiska, ale niech nas diabli, jeśli ten chichot nie wydobywa się z Pańskiej gardzieli!

☆

Pyta nas pewien urzędnik, co ma odpowiedzieć duchowi, który co nocy chce spełniać jego życzenia.

Niech go Pan poprosi, aby wszystkich petentów uczynił Pańskimi znajomymi, wówczas pracować będzie łatwiej, bo ich sprawy będzie Pan po prostu załatwiał po znajomości.

☆

Pani W.B. uskarża się na męża, który nie godzi się na kupno samochodu, a ona chciałaby poznać świat.

Sądzimy, że jego upór wywodzi się o niepewności: o ten czy o tamten świat Pani chodzi?

DZIŚ STRASZY...

KRWAWY KRZYŻ

Gdy Antek z Waldkiem, nieświadomi świata, uwalili się na słomę, dochodziła godzina druga. Na remizowym balu sylwestrowym zaprawili się pospiesznie siwuchą, poturbowali sołtysa, o mało co nie wysłali do piekła sikawkowego Kazia, po czym udali się na cmentarz i — dla draki — pozamieniali na świeżych grobach krzyże z tabliczkami. Syci zabawy — znaleźli schronienie w pierwszej lepszej szopie.

Niebawem obudził ich piekący ból. Nagle przytomni — skonstatowali, że jacyś dwaj widmowi osobnicy kreślą nożami na ich piersiach krwawe krzyże, a czterej inni przyglądają się temu spokojnie. Krzyk zamarli młodzieńcom na zdrętwiałych ustach, ciała ogarnęła niemoc. Nawet nie ruszyli ręką, kiedy ułęknięta nad nimi druga para widm i wycięła po następnym krzyżu. Trzecich nacięć już właściwie nie czuli, bowiem popadli w letarg.

